



MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY ILLUSTROWANY

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



fol. M. Wisznicki.

MIASTO BORYSÓW NAD BEREZYNĄ.



Stanisław Pawłowski.

GŁÓWNE KIERUNKI ROZWOJU SIECI KOLEJOWEJ W POLSCE.

Mikołaj I wytyczył podobno w ten sposób linię kolejową pomiędzy Petersburgiem a Moskwą, że połączył poprostu oba miasta na mapie linią prostą... Podziwiamy w tem zdarzeniu wolę satrapy, ale z drugiej strony musimy uznać dążenie do wytknięcia ruchowi kolejowemu drogi jak najkrótszej. Najkrótsza droga i największa chyżość ruchu, są to odwieczne hasła wszelkiej komunikacji, bez względu na to, jakich owa komunikacja używa rodzajów dróg i jakich środków. Są to wszakże postulaty do spełnienia niełatwe, o ile nie przyjdzie człowiekowi w pomoc sama natura. Nie trudno prowadzić proste linie kolejowe po równinnej Europie wschodniej, po bezkreśnych omal prerjach środkowych Stanów Zjednoczonych czy środkowej Kanady lub po pampasach Argentyny. Atoli już w nizinnej Holandji mnogość rzek, kanałów, błot i t. p. wód stawiała długi czas rozwojowi sieci kolejowej trudne do pokonania przeszkody, podobnie jak i u nas bagniste Polesie, jakkolwiek to kraj o najniższych w Polsce horyzontach, unikane bywa przez drogi zwykłe i przez koleje.

Naogół wszakże przyjąć można, że Polska, gdy chodzi o jej drożność, stoi między krajami o minimalnych przeszkodach terenowych, a krajami o znacznych przeszkodach terenowych. Jako kraj przeważnie nizinny i równinny zarazem, o nieznacznych różnicach wysokości względnej, kraj, którego 80% powierzchni, według Romera, leży poniżej 200 m. n. p. m., nie może Polska z natury swej uchodzić za obszar komunikacyjnie trudny do opanowania. Zwłaszcza bez Karpat nizinność polskich krajobrazów wystąpi w sposób jeszcze drastyczniejszy. Nachylenia terenu nie osiągają na większych przestrzeniach rozmiarów, nie dozwolonych względami natury technicznej. Większe zaś stromości lokalne mogą być

w sposób łatwy ominięte, jeśli nie usunięte. Spadki rzek wahają się w Polsce nizinnej od 0,1 do 0,5%. Poważniejszymi przeszkodami naturalnymi w Polsce nizinnej są nie tyle wypukłości terenu, a więc równoległe grzbiety Łysogór, grzbiet krakowskiej Jury, albo garby pojezierzy, co jej zakłęśności, a to: błota, szerokie i zabagnione doliny dyluwialne, tu i ówdzie mnogość jezior. Żadna jednak z tych przeszkód nie może uchodzić za przeszkodę tej miary, jaką są Alpy, góry Dynarskie, Apeniny i inne.

Skoro więc sieć kolejowa w Polsce nizinnej rozbudować się może, nie używając prawie tuneli, wielkich zakrętów i dalekich obejść i wymijań, skoro rzeźba terenu nie stawia pod tym względem większych trudności, to rozstrzygnie o rozbudowie przedewszystkiem ludzka wola, chyba, że ją powstrzyma w tych usiłowaniach brak budowlanego materiału lub brak kapitałów. Gdy jednak przyjmujemy, że i te przeszkody zostaną usunięte, wówczas tem śmieiej mówić możemy o kierunkach rozwoju głównej sieci kolejowej w Polsce. To właśnie zadanie spełnić ma szkic niniejszy, illustrowany mapką, wykonaną na rysunku warstwicowym, wziętym z mapki Polski prof. Romera.

Trzy wszakże zaraz na początku uczynić nam przyjdzie zastrzeżenia: po pierwsze, iż traktujemy tylko o sieci kolejowej wewnętrznej w Polsce, uważając, iż dobrze i celowo rozwinięta sieć wewnętrzna czyni tem samem zadość ruchowi kolejowemu międzynarodowemu i zagranicznemu i stanowi wystarczającą podstawę rozwoju sieci drugorzędnej i lokalnej; powtóre, iż chodzi tu wyłącznie o kierunki rozwoju głównej sieci kolejowej, a nie o linie kolejowe, które — rzecz jasna — od tych kierunków w jedną i drugą stronę odchylać się będą; po trzecie, iż przez kierunki główne rozumie się takie kierunki, wzdłuż których biegnęłyby linie dwu-



torowe, a kursowałyby pociągi conajmniej pospieszne. Po tych zastrzeżeniach ustalić będzie można pewne wytyczne, które tembardziej okazują się usprawiedliwione, w im bardziej pierwotnym stanie znajduje się nasza sieć kolejowa.

Długo dowodzić ani wyjaśniać nie potrzeba, że w jakikolwiekby sposób ułożonej sieci kolejowej w Polsce Warszawa stanie się węzłem kolejowym pierwszorzędym. Stolica Polski posiada wszelkie warunki stolicy naturalnej. Leży bowiem prawie w centrum polskiego obszaru etnograficznego, skupia w sobie życie polityczne państwa, rychło a stanie się pierwszorzędą metropolą gospodarczą pod względem handlu i przemysłu, leży w pobliżu spływu dwóch największych dopływów z Wisłą, a w miejscu, gdzie skrzyżują się z sobą niebawem przyszłe nasze drogi wodne. Warszawa, jako centrum życia umysłowego i politycznego zarazem, ściągać będzie ku sobie wszystko naokół, co reprezentuje siłę społeczeństwa i państwa, a ściągać będzie tem więcej, iż położona bardziej centralnie, niż Paryż wobec Francji, stanie się z konieczności środowiskiem pierwszorzędym Polski.

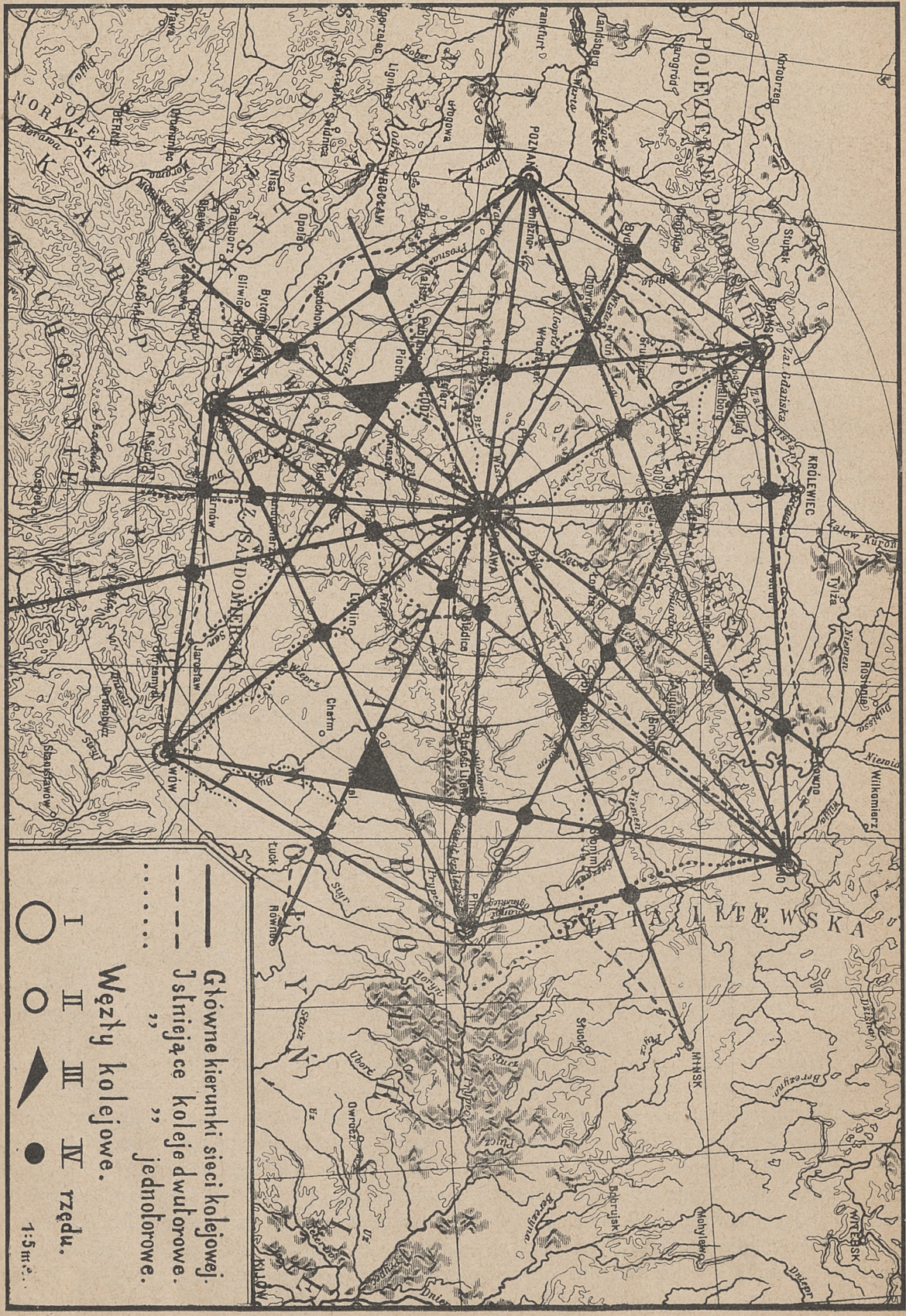
Jako takie środowisko, Warszawa mieć powinna połączenia z wszelkimi dzielnicami Polski, zwłaszcza ze stolicami polskich ziem kresowych, a więc z Poznaniem, jako stolicą Wielkopolski, z Gdańskiem, jako stolicą Pomorza i oknem na świat, z Wilnem, jako stolicą polskiej Litwy, z Pińskiem, jako stolicą Polesia, ze Lwowem, jako stolicą ziemi Czerwieńskiej, z Krakowem, jako stolicą zachodniej Małopolski. Konieczną jest również rzeczą, aby Warszawa miała osobne połączenia ze stolicą Prus Wschodnich, Królewcem, i ze stolicą Litwy etnograficznej, Kownem, ze stolicą Białorusi, Mińskiem, i ze stolicą Wołynia — Równem, aby ściślej się zjednoczyła z krainą karpacką ze względu na jej bogactwa mineralne i przez Karpaty sięgła do Słowaczyny, Węgier i Jugosławji, a nadewszystko, ażeby była ściśle związana z zagłębiem węglowem śląskim i z okręgiem przemysłowym łódzkim, a nawet z ważną komunikacyjnie Bydgoszczą. Wyliczone kierunki i linje rozwoju otwierają przed Warszawą drogi do krajów i państw sąsiednich i to drogi najkrótsze.

Warszawa, jako węzeł naczelny, skupiać będzie w tych warunkach 15 głównych linii kolejowych, nie licząc linii pobocznych i lokalnych. Gdy wykreślimy linje izochroniczne dla pociągów, poruszających się po tych idealnych kierunkach z chyżością 60 km. na godzinę, to — jak widać z mapki — Gdańsk, Poznań, Kraków leżą pomiędzy 4 — 5 godziną drogi od Warszawy; Lwów, Pińsk — pomiędzy 5 — 6; Wilno między 6 a 7. Odległości nie są naogół wielkie, nawet gdybyśmy przyjęli, iż trudności terenowe i inne opóźnią do tego stopnia ruch pociągów, że czas jazdy stanie się dwa razy dłuższy. Nawet wtedy połączenie Warszawy z ziemiami kresowemi będzie bardzo szybkie (8 — 10 godzin), ziemie te niezwykle się do Warszawy zbliżą.

Jako węzły drugiego rzędu wyróżniają się Poznań, Kraków, Lwów, Pińsk, Wilno, Gdańsk, sześć miast, wszystkie z wyjątkiem Pińska o wielkiej przeszłości historycznej. Niektóre są nawet zdegradowanemi stolicami państwowemi. Takie stare grody o wypróbowanej wielokrotnie wierności dla Rzeczypospolitej, nieodłączne i nierozzerwalne składniki tejże Rzeczypospolitej i jej pomnożyciele, wybijają się z natury swego położenia w centrach historycznych ziem kresowych na ich czoło, jako stolice. Mają i to jeszcze za sobą, że są niejako zewnętrznym wyrazem ich rozwoju i wzrostu i że skupiają dążenia polityczne i gospodarcze dokoła siebie. Leżą przytem dość daleko od granic państwa, ażeby prowadzić byt niezależny i samodzielny.

Pińsk jest wyjątkiem. Brudne to i zaniedbane miasto ledwie wegetuje, położone na wschodnim cyplu wciskającej się w bagna Polesia między rzekę Prypeć i Jasiołdę pagórkowatej i suchszej krainy. U stóp Pińska Prypeć staje się już rzeką żeglowną, niedaleko zaś Pińska uchodzą do niej kanały łączące ją z Niemnem i z Bugiem, nieco na wschód przecina wpoprzek Polesie kolej, idąca z Wilna do Równego, jakby umyślnie odchylona od kierunku prostego, który dokładnie łączy oba miasta przez Pińsk. Przez Pińsk krzyżuje się z tą koleją główną linja poleska, wiodąca do Homla.

Tak szczęśliwie u splotu dróg położona osada nie wyrosła jednak na miasto wielkie.





Przyczyny należy szukać w małej roli, jaką Polesie odgrywa pod względem gospodarczym. Poza produkcją i eksportem drzewa Polesie jest krainą gospodarczo bierną. Jest atoli krainą przyszłości. Uregulowanie bowiem rzek, osuszenie bagien, przekopanie kanałów, budowa dróg — to wszystko uczyni z Polesia ważny obszar gospodarczy i kolonizacyjny. Kraj to więc nieobojętny dla społeczeństwa, mającego materiału ludzkiego aż nadto wiele, ażeby zaludnić puste przestrzenie. Pińsk, jeżeli się nie rozwinął dotychczas, to wyrośnie z pewnością na prawdziwą stolicę Polesia. Z tego względu powinien być w systemie kolei odpowiednio traktowany.

Punktem wyjścia w rozważaniach nad układem sieci kolejowej jest zasada, iż każdy z węzłów drugorzędnych łączyć się winien osobną linią kolejową z drugim węzłem i z Warszawą. O ile bowiem istnieją związki owych węzłów ze stolicą państwa, o tyle słuszną i konieczną jest rzeczą, ażeby każdy z nich mógł się bezpośrednio komunikować z drugim. Czyni się tu zadość odwiecznym związkom kresowych ziem i ich stolic ze sobą. Od zasady najprostszych, osobnych linii odstępować się winno tylko wtedy, gdy linje te przechodzą przez Warszawę i służą równocześnie komunikacji ze stolicą państwa i ze stolicami kresowemi.

Wychodzi więc z każdej ze stolic kresowych 5—6 linii kolejowych głównych do środka kraju. Rozumie się, iż węzły drugorzędne stają się równocześnie ważnymi punktami wyjścia dla ruchu kolejowego z zagranicą i dla ruchu międzynarodowego. Wilno i Pińsk skupiać będą ruch kolejowy z północną i środkową Rosją, Lwów z Rumunją i z południową Rosją, Kraków z Austrią i Czechami, Poznań z Niemcami, Gdańsk z Europą zachodnią i północną oraz z resztą świata. Związki te podtrzymywać jeszcze będą linje, wychodzące wprost z Warszawy, o kierunkach pośrednich, np. na Mińsk, na Równe, na Bytom, na Łódź.

Na przecięciu się kierunków, które można nazwać kresowemi, ze sobą, oraz kierunków, wychodzących z Warszawy, powstają węzły trzeciego rzędu, układające się w pewnym promieniu dookoła Warszawy. Przeważna ich ilość przypada na 2 a 3 godzinę jazdy od Warszawy, jeden węzeł leży na

przestrzeni pomiędzy 3 a 4 godziną. Węzły trzeciorzędne leżą w każdym razie w pobliżu ważnych i większych miast Polski; a więc w pobliżu Torunia, Olsztyna, Białegostoku, Kowla, Sandomierza, Kielc, Piotrkowa i Tomaszowa, wreszcie koło Łodzi. Nie trudno nie zauważyć, iż brakuje tylko Lublina, a byłyby to wszystkie po Warszawie i stolicach kresowych ważniejsze miasta Polski. Przecinałoby się w nich conajmniej 6 głównych linii kolejowych, przez co wyrosłyby dostateczne podstawy rozwoju owych węzłów na lokalne ośrodki życia gospodarczego.

Węzły czwartorzędne powstać mogą na skrzyżowaniach dwóch głównych kierunków i linii komunikacyjnych. Jest ich więcej i są dosyć równomiernie rozłożone, znajdują się bowiem tak wewnątrz kraju, jak i dalej od jego środka. Niektóre z nich są z natury rzeczy przeznaczone na to, ażeby odgrywać ważniejszą rolę, np. węzeł bydgoski w stosunkach z Pomorzem, węzeł tarnowski i rzeszowski w stosunkach ze Słowacją i z Węgrami, lub węzeł lubelski, położony na skrzyżowaniu dróg Kraków — Pińsk i Lwów — Warszawa.

Rozmieszczenie głównej sieci kolejowej w tym obrazie, jaki przedstawiłmy, byłoby dość prawidłowe. Okna pomiędzy linjami sieci są naogół nieduże. Najgęściejszą jest sieć kolejowa w środku i w południowo-zachodniej połaci Polski, co odpowiadałoby poniekąd gęstości zaludnienia i ważności tych krain pod względem gospodarczym, w każdym razie żadna z ziem polskich nie jest upośledzona. Tak ułożona sieć daje rękojmię ich rozwoju, o ileby inne czynniki ów rozwój popierały. Jest to sieć główna dostateczna. Gdybyśmy bowiem przyjęli powierzchnię, objętą linjami granicznymi, na 250,000 km², a długość sieci wykreślonej na mapce na 10,000 km., to wypadnie 4 km. sieci głównej na 100 km² powierzchni. W rzeczywistości sieć ta będzie o wiele dłuższa, czy to dlatego, że linje kolejowe odbiegają od kierunków prostych, czy to dlatego, że wyjdą poza wyznaczone tu linje na zewnątrz. Gdy zaś dodamy do tego sieć kolei drugorzędnych i lokalnych, conajmniej tak długą jak sieć kolei głównych, (Giejsztor oblicza długość kolei w grani-



cach etnograficznych na 18.400 km.) otrzymamy wówczas na 100 km² powierzchni 8 do 10 km. kolei, a więc stosunek wystarczający, skoro Francja ma 10 km., W. Brytania i Niemcy po 12 km. a tylko Belgja, kraj o dojrzałej sieci kolejowej, 30 km. na 100 km² powierzchni.

Znaczenie sieci kolejowej o wytkniętych, jak wyżej, kierunkach, dałoby się ująć i przedstawić w kilku zdaniach.

Pod względem gospodarczym otwierają się przy takiej sieci horoskopy szybkiej wymiany dóbr pomiędzy wszystkimi częściami państwa. Nadmiar produkcji w jednej z ziem kresowych mógłby z łatwością odpłynąć przy pomocy osobnych linii do ziem i centrów potrzebujących. Tak się jeszcze składa, że owe kierunki ułatwiają w znacznym stopniu połączenie stolicy państwa i stolic kresowych z okręgiem przemysłowym łódzkim a przez Kraków oraz węzeł częstochowski z zagłębiem węglowym.

Osobno podkreślić trzeba znaczenie strategiczne tak rozwiniętej sieci kolejowej. Ze stolicy państwa, jak również z każdego centrum drugorzędnego, jest możliwy przewóz wojsk i materiału wojennego osobną linią na miejsce zagrożone. Celem zaś ofensywy naszych wrogów będzie przedewszystkiem zajęcie którejs z stolic kresowych. Rozkład sieci umożliwi nadto krycie frontu, jako

też obronę stolicy w promieniu 100 do 150 km. w każdym kierunku.

Sieć, jak powyższa, umożliwi zupełną konsolidację państwa. Nie tylko bowiem jest przez nią zorjentowane ciężenie ku środkowi państwa, lecz także predysponowane mocne powiązanie ziem ze sobą. Wzajemna solidarność polityczna i narodowa ziem ujawnić się może w tych momentach daleko prędzej.

Nie można w końcu zapominać, iż tak pojęta sieć kolejowa wpłynie dodatnio na rozwój osad typu miejskiego, gdyż wiele z nich leżeć będzie pod linjami głównymi, a inne z powodu małej stosunkowo odległości od linii głównych (najdalsza odległość jakiejś miejscowości od linii głównej nie przekracza w tym schemacie 50 km.) będą się mogły z nią połączyć w sposób łatwy przy pomocy kolei drugorzędnych lub lokalnych.

Jest rzeczą zrozumiałą, iż rzucenie na mapę głównych kierunków rozwoju sieci kolejowej w Polsce i omówienie ich nie jest jeszcze rozwiązaniem problemów komunikacyjnych, związanych z naszym kolejniactwem wogóle. Jest to jednak postawienie i przygotowanie kwestji do dyskusji, która, sądzić można, w coraz żywszą wejdzie fazę z chwilą, gdy po wielkich dziełach wojny przyjdzie nam realizować wielkie dzieła pokoju.





Witalis.

KOŚCIÓŁ W HŁUSKU.

Położony w pow. bobrujskim, ziemi mińskiej, Hłusk należy do najstarszych osad na kresach.

Zanim Polska nasza zatknęła w w. ks. Litewskim godło maki Chrystusowej, Hłusk był główną ostoją pogaństwa, której zniszczyć nie zdołały usiłowania kleru kościoła wschodniego, skoncentrowanego wtedy głównie na Polesiu mińskim, w Turowie.

Nie pomagały przekładania popów, nie skutkowały i walki orężne, Hłusk i okolica trwały w swem pogaństwie i dopiero w końcu XIV wieku rozproszyły się nieco ciemności ponure, gdy unja z Polską zapewniła w. ks. Litewskiemu nie tylko obronę od hord krzyżackich, lecz i promienie wiary św. i wogóle kultury.

O wielkiem zaniedbaniu kultury w wieku XIV, przed przyjęciem chrztu św., daje pojęcie Jakób Caro, historyk niemiecki, w swem dziele: „Geschichte Polens“. W tomie II, na str. 20 — 21 pisze: „Litwini, a zwłaszcza ludność poleska, od Turowa aż poza Hłusk i dalej, nie są zgoła obeznani z rolnictwem. Żywią się nędznie z polowania i rybołówstwa. Cały kraj pogrążony w ciemnościach nieprzejranych. W ciągu miesięcy 10-ciu lód tam nie tajał. Lato trwało zaledwie dwa miesiące. Żadne zboże nie dojrzewało; kłosa, o ile czasem siano owies, suszono przy ogniu.

Ludność cała mieszkała w szałasach z drzewa i gałęzi. Najzamożniejsi nie stanowili wyjątku. Tryb życia koczowniczy“.

(Rozdział: „Litwa przed chrztem“).

Położony wśród bezmiernych lasów, jezior i bagnisk, Hłusk pono najdłużej opierał się promieniom światła cywilizacji i wiary chrześcijańskiej.

Niewiele snać się zmieniło w Hłusku i jego okolicy, jak i na całej pono Litwie, nawet w wieku XVI, skoro Zygmunt August, król wicz, pisał w roku 1547 do ks. Samuela Maciejowskiego, biskupa krakowskiego:

„Świeże są jeszcze bardzo na tej naszej Litwie powiewy wiary chrześcijańskiej poza Wilnem, a szczególnie na Polesiu, gdzie lud, zgoła jeszcze nie ochrzczony, nie odstąpił od pogaństwa. W okolicach Hłuska ludność tak ciemna, że oddaje cześć boską



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

KOŚCIÓŁ W HŁUSKU.

gajom, dębom, lipom, ruczajom, głazom i węzom, i składa im szczodre ofiary“.

Rękopis król wicza — dodajmy — przechowuje pieczętowanie biblioteka Czarotoryskich w Krakowie (tom 65, № 32).

Na szerszą widownię dziejową Hłusk występuje dopiero w w. XVII, gdy obszerne dobra Hłuskie zostały nadane przez Jana Kazimierza Aleksandrowi Połubińskiemu, wojewodzie parnawskiemu, później marszałkowi w. ks. Litewskiego, za zadaną w roku 1656 Szwedom srogą porażkę.



Podniósł P. wysoko wartość Hłuska, a dla utrwalenia zasad wiary sprowadził bernardynów i ufundował klasztor (1662 r.). Słynęli zakonnicy hłuscy ze swych szkół i przytułków dla chorych i ubogich. Przetrwał klasztor w Hłusku do r. 1832, t. j. do chwili ogólnej kasaty zakonów katolickich na kresach.

Jako wiano jednej z Połubińskich, przeszły dobra Hłuskie w wieku XVIII w posiadanie Radziwiłłów.

Kościół miejscowy, początkowo drewniany, fundacji marsz. Połubińskiego, został w wieku XVIII zastąpiony świątynią murowaną i niezmiernie bogato wyposażony. Poza olbrzymimi obszarami ziemi, nadanej przez Połubińskich i Radziwiłłów, posiadał przedziwne, arcykosztowne sprzęty kościelne, monstrancję, patere, kielichy i t. d., szczerolote, suto wysadzone brylantami, szmaragdami i rubinami.

Te kosztowności były w dobie naszej niewoli często przedmiotem pożądliwości różnych ichmościów wpływowych.

Wr. 1878 złupił kościół hłuski doszczętnie osławiony „kanonik“ Sęczykowski, renegat — rusyifikator, persona więc grata u rządu.

Uszłoby może to świętokradztwo na sucho panu „kanonikowi“, gdyby nie spółzawodnictwo z gubernatorem mińskim, który również czyhał na przepiękne kosztowności kościoła w Hłusku.

Nie mogąc ich zdobyć inaczej, gubernator postanowił kościół zabrać i oddać go popom i przerobić na cerkiew schizmatycką. W trakcie tych inowacyj zamierzał się załatwić z naczyniami kościelnymi.

Naraz się dowiaduje, że „kanonik“, jego protegowany, zdołał już zeskamotować wszystko złoto i brylanty hłuskie, ba, nawet spieniężyć je żydom. Zemścił się za to na księdzu świętokradcy i wyjednał w Petersburgu rozkaz zamknięcia go, za ograbienie kościoła, na dwa lata w klasztorze Franciszkanów w Grodnie.

Rzecz jednak ciekawa, że p. gubernator wyzbył się odtąd całkiem zamiaru wydarcia ludności katolickiej kościoła hłuskiego. Okradziony przez Sęczykowskiego, kościół ten nie figurował już odtąd na liście katolickich domów Bożych, przeznaczonych na zagładę. Nie wart już był za chodu i troski.



Elżbieta Nowicka.

NATOLIN!*)

Z Wilanowa, idąc wzdłuż toru kolejki, wychodzi się za wsią Powsinkiem na szeroką aleję, zwaną Natolińską. Zdaleka widać drugą — jej siostrzycę, aleję topolową, wiodącą ku Natolinowi: ¹⁾ obie, jak rozpostarte skrzydła olbrzymiego ptaka, zbiegają się u bram natolińskiego parku.

Stajemy u progu obszernej, murem opasanej rezydencji. Niegościnnie napis, umieszczony na fasadzie bramy, ostrzega, że „wejście do parku surowo wzbronione pod

karą sądową“. Taki sam napis na innych bramach parkowych. Szczęściem otrzymaliśmy (po niemałych zachodach i trudnościach) pozwolenie na „jednorazowe“ zwiedzenie Natolina. Ów napis, surowo wzbraniający wejścia do wnętrza ślicznej niegdyś rezy-

*) Opis niniejszy jednego z piękniejszych zabytków podwarszawskich skreślony został przez autorkę przed samym wybuchem wojny. Zamieszczamy go tu jednak w całości, o ile nam bowiem wiadomo, jest on i dziś równie aktualny, jak przed pięć laty, nic się bowiem odtąd w Natolinie nie zmieniło.

¹⁾ Natolin — o 2 wiorsty od Wilanowa, własność hr. Branickich.

(Przyp. Red.).



dencji hr. Potockich, jeszcze bardziej podniecał naszą ciekawość i budził nadzieje ujrzenia tam, poza bramami parku, cudów natury i — sztuki. Nie zawiodły tylko — pierwsze: tarasowate położenie parku, obfitujące w rozległe widoki i dalekie perspektywy, oraz — przepyszny, bogaty starodrzew, zwłaszcza dęby, o konarach potężnych, jak mięśnie prastarych turów czy łosiów, dęby — cud, chyba z czarodziejskiej baśni ludowej przeniesione na naszą ziemię.

Drugie — owe dzieła sztuki, owe słynne niegdyś świątynie, rzeźby i liczne ozdoby Natolina zniszczyła i skruszyła bądź moc czasu, bądź obojętność ludzka. Resztki tych arcydzieł, ocalałych od zniszczenia, pozbawione opieki, zaniedbane i okaleczone, giną z roku na rok, niemal z dnia na dzień, dzieląc losy Puław i Łowickiej Arkadij, blizkie zagłady, jakiej uległy pomniki sąsiedniego Gucina.

Czemże był Natolin przed laty?

Umiłowaną siedzibą Anny z Tyszkiewi-

czów hr. Potockiej,¹⁾ artystki o subtelny smaku, niepospolitej znawczyni sztuki, która pragnęła piękno Grecji i Włoch zaszcześcić i hodować tu na rodzinnej ziemi w swym ulubionym Natolinie; której (jak mówi sama w swych „Pamiętnikach“) wszystkie ambicje, cała miłość własna i polot wyobraźni skupiły się około upiększenia Natolina; która (w braku pieniędzy) bez wahania i bez żalu sprzedawała własne klejnoty... byle do Natolina sprowadzić cenne brzozy i marmury.²⁾

¹⁾ Anna z hr. Tyszkiewiczów z pierwszego małżeństwa Potocka, z drugiego — Dunin-Wąsowiczowa, urodzona około roku 1777, zmarła w Paryżu 1867 r. w 90 roku życia. Matka jej, Konstancja z Poniatowskich, była siostrzenicą Stan. Aug. Poniatowskiego.


²⁾ ...mon amour-propre ainsi que mes prétentions se trouvaient concentrés à Natoline, dans ce petit chef-d'oeuvre, qui me paraissait digne de l'immortalité. Lorsque nous manquions d'argent, je vendais des diamants afin d'acheter du marbre et du bronze.

„Mémoires de la C-tesse Potocka.“
(1794 — 1820) Paris 1897.



fol. K. Kulotod.

PAŁAC I PARK W NATOLINIE.



To jej przywiązanie do owego pięknego skrawka ziemi ojczystej, ta jej miłość dla piękna sprawiły, że pani Natolina nie tylko z „prostego gaju uczyniła go ogrodem pierwszym po Wilanowie w okolicach Warszawy“,¹⁾ ale nadto stworzyła „żeń małe arcydzieło, godne nieśmiertelności.

Anna hr. Potocka, obdarzona wyobraźnią żywą, wrażliwa, uczuciowa, rozmiłowała się prawdziwie w rzeczach piękna, zwłaszcza w dziełach malarstwa i rzeźby, a kult jej dla sztuki był tak wielki, że nawet — jak o tem sama wspomina — podczas audjencji na dworze wielkiego Napoleona, w chwili, gdy cesarz Francji, władca Europy, do niej się zwrócił, uwaga jej ześrodkowała się nie na osobie Napoleona, lecz — na „Sybilli“ Guerchin'a, arcydziele, zdobiącym gabinet cesarza. Wspaniałe galerje paryskiego Louvre'u, arcydzieła Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Canovy i innych mistrzów, poznane w podróży po Włoszech, a potem — bliskość Wilanowa, pełnego niepospolitych dzieł sztuki, wreszcie umiejętny kierunek teścia hr. Anny, Stanisława Potockiego, dziedzica Wilanowa, oraz jego upodobania artystyczne rozwinęły w niej jeszcze więcej poczucie piękna, ukształtowały i skryształizowały pogląd na sztukę. Wówczas to pod kierunkiem Stanisława Potockiego rysuje hrabina Anna plany ogrodów i świątyń, mających zdobić Natolin, nazwany przez nią „délicieuse campagne“, obmyśla każdy szczegół, nocą nawet śni „les yeux ouverts“ o nowych sposobach upiększenia Natolina, i niecierpliwie wyczekuje dnia, by kreślić plany, zrodzone w ciszy nocnej. Nawet we Włoszech, choć olśniona bogactwem renesansowej sztuki, choć upojona czarem włoskiej ziemi, nie zapomina ani na chwilę o Polsce i o swym ulubionym Natolinie: wrażenia, wyniesione z Monzy, Brescii, Werony, Genui, Neapolu czy Rzymu, zdają się podsycać tęsknotę hrabiny „Anetki“ za Natolinem i krzepić do dalszych trudów około upiększenia dawnego „prostego gaju“. Genua budzi w niej zazdrość na myśl, że mieszkańcom pięknego kraju wszystko, nawet szczęście („tout jusqu'au bonheur“) łatwiej przychodzi. W Rzymie, na widok artystycznie

wyzyskanych motywów w willi księżnej Borghèse, siostry cesarza Napoleona, na myśl o milionach, tam rozrzuconych, zazdrości obfitych źródeł piękna, skąd twórcy willi „Paolina“ czerpać mogli natchnienie i środki do zrealizowania swych planów; żałuje, że Natolina nie obdarowała natura tak hojnie, jak — Rzym lub Neapol.¹⁾ W Pompei kopiuje i rysuje w swym albumie motywy, mające zdobić jej ukochaną siedzibę; z trudem przewozi stąd do kraju cenne wazy etruskie, alabastry i przedziwne mozaiki.²⁾ Słowem, Natolin jest jej wizją umiłowaną, troską serdeczną, pełnym wyrazem jej dążeń i upodobań.

Jakże wygląda obecnie owo małe arcydzieło, które zrodziła miłość tej ziemi i kult dla piękna?

Ogromny, podobno czterdziesto-morgowy park, zapewne rozrósł się i spotęźniał od owych czasów; ale drogi i ścieżki zarosły trawą i zielskiem, ale mokradła w niższej części parku, ale odłamy kolumn i odrapane mury świadczą o zupełnem zaniedbaniu. Tylko pałacyk natoliński zachował się dotąd w dobrym stanie na zewnątrz. Pałacyk ten, wzniesiony około r. 1778 przez Tomatysa³⁾ na górze, panującej nad parkiem, posiada front o harmonijnych linjach włoskiego renesansu i pełnej smaku attyce; druga zaś jego strona, zwrócona ku głównej bramie, wychodzi na obszerny taras, dziś pozbawiony już niemal wszystkich ozdób. Zostały jeszcze na owym tarasie olbrzymie kamienne cerbery, imponujące siłą i plastyką; groźnie wysunięte pazury łap potwornych, łby dumnie zadarte, o pysznem wzgardliwym spojrzeniu, zdają się dzierżyć straż silną a pewną obok renesansowego pałacu, jednego dziś świadka jasnej przeszłości Nato-

¹⁾ Si Natoline... s'était trouvé aux portes de Rome ou de Naples, je pense, que je me serais immortalisé.

„Voyage d'Italie“ C-tesse Anna Potocka (1826—1827). Paris 1899.

²⁾ Album Anny Potockiej zrabowany został w roku 1830 w Mokotowie (pod Warszawą). Wówczas przepadło też mnóstwo przedmiotów kosztownych, przywiezionych z podróży; między innymi — owe wazy etruskie, rzadkiej piękności. Żołnierze rosyjscy napełnili je kapustą i używali, zamiast kościółków, do gotowania.

³⁾ Antoni Magier. Estetyka Warszawy.

¹⁾ Antoni Magier. Estetyka Warszawy. Rękopis w Bibliotece hr. Zamojskich.



lina. Kamienne urny, jesienią pełne pożółkłych liści, niby czary złota, zdobią front tarasu. Od strony tego tarasu kolumnowy przedsionek, stanowiący jakby świątynię grecką o kopułowatym sklepieniu i pięknie zachowanym rzeźbionym fryzie, prowadzi w ogromne dębowe podwoje, ozdobione herbami hr. Potockich, do wnętrza pałacu. W pokojach dolnych wśród mroku (przy szczelnie zasuniętych żaluzjach) rysują się kontury mebli, porzuconych bezładnie. Tuż pod oknem niewielkiej sali odcina się od całego otoczenia, lśni alabastrem i doskonałą harmonją linji — popiersie, wykonane przez jakiegoś artystę włoskiego, słynnej z urody córki hr. Anny Potockiej — Natalji, której piękność, opiewana w Rzymie przez Delfinę Gay, była odbiciem tych snów i pragnień, jakie matka jej skupiła w Natolinie: była to piękność subtelnej kamei greckiej. Ta rzeźba w alabastrze jest — zdaje się — jedynym cennym dziełem sztuki, pozostałym w Natolinie i skazanem, jak inne, na zapomnienie lub kradzież.¹⁾ W górnych pokojach — napół pustka. Pozostało tu trochę przedmiotów bez wartości; na ścianach — trochę sztychów angielskich, wśród których zabłąkał się doskonały portrecik Stanisława Kostki Potockiego i Deotymy. Wszędzie bezład rzeczy martwych, nikomu na nic nie potrzebnych, porzuconych rupieci. Tu i owdzie freski na sufitach lub piecach — to jedyne ślady dawnych, wytwornych ozdób. Tuż obok pałacu wznoszą się piramidy przepysznych modrzewi, a z szerokich balkonowych okien środkowej sali wzrok sięga w głąb parku, w beżmiernie długą i prostą linję dębowej alei, obramowanej świerkami, przesłoniętej niby błękitną gazą — lekkim oparem jesiennego popołudnia.

Opuszczamy pałacyk z uczuciem rozczarowania, zawodu... Cicho przesuwamy się przez pustą sień i kolumnowy przedsionek. Na prawo od tarasu koło kamiennych cerberów wychodzimy na szeroką drogę, prowadzącą obok pamiątkowego kamienia pod grupą jesionów: kamień ten nosił niegdyś

¹⁾ Ową rzeźbę, skradzioną wraz z cennymi kandelabrami, oraz innymi przedmiotami, upuszczoną przypadkowo przez złodziei, znaleziono nazajutrz w parku na śniegu. Niektóre cenniejsze przedmioty umieszczono w pałacu wilanowskim.

wyryty wiersz Niemcewicza, napisany przezeń na dzień urodzin Natalji Potockiej; napis zatarty bez śladu. O kilkadziesiąt kroków stąd — jakiś pomnik zwalony: na podstawie część kolumny złamanej, rozpadłej, napisy już znikły. Wchodzimy na most, sklepiony nad niższą częścią parku, w malowniczy łuk wygięty, ozdobiony odlewami lwów. Stąd już prosto — do pomnika Natalji Potockiej, młodo zmarłej.¹⁾ We wgłębieniu tego jakby mauzoleum, wykutego z pięknej bryły marmuru, umieścił artysta wielce wdzięczną postać kobiety, napół leżącej z książką w ręce; piękna Natalja zdaje się wsłuchiwać w jesienną ciszę parku, w delikatny szelest opadających złotych liści... w muzykę głosów wiecznych, niezmiennych... Ale w harmonijnych rysach posągu razi coś, jakby oszpecenie, jakby dotknięcie brutalnej ręki... Oto poczciwina, quasi burgrabia czy klucznik natoliński wyjaśnił nam, że „Natalji zwyczajny mularz przyprowadził nos, od deszczów uszkodzony“. Więc u nas „zwyczajnym mularzom“ poleca się konserwację dzieł sztuki po to, aby je po barbarzyńsku oszpecić...

W głąb parku przez gęstwę dębów, jesionów i świerków szedł za nami szelest zeschniętych traw i liści, grubą warstwą pokrywających aleje. Zdawało się, że dochodził nas od czasu do czasu szum skrzydeł bażancich; naraż — strojne ptaki błysnęły w zachodzącym słońcu i — przepadły w gąszczu traw... Szliśmy ku wyjściu prostą szeroką aleją dębów. Sylwety ogromnych pni drzewnych kładły się teraz na naszej drodze ciemnymi smugami, tworząc niby drugą aleję — cieniów.

Owa cisza i opuszczenie Natolina wywołują mocą kontrastu obraz, drgający życiem, i niosą echa żartów i śmiechu minionych czasów. Z kart ciekawych „Pamiętników“ hr. Anny Potockiej wysuwają się niekiedy postacie natolińskich gości. Oto w pamiętnym 1812 roku francuski ambasador de Pradt, ciągniony w ciężkiej karecie przez ciężkie, niezgrabne andaluzyjczyki, zjeżdża do Natolina z całym rojem młodych urzędników ambasady. W pałacu pełna wdzięku pani Natolina raczy gości wykwiśniętym

¹⁾ Natalja z Potockich księżna Sanguszkowa ur. 1807, zmarła 1830 r.



„wiejskim“ obiadem. De Pradt zachwycony, jak nań przystało, wyborną kuchnią nato-
lińską; młodzież ambasady — uroczym par-
kiem, który jednak tak upodobały sobie ko-
mary, że rojami obsiadają gości. Młody de
Panat, zawsze zajęty swoją „toute petite
personne“, nie ustaje w lamentach i skar-
gach przeciw okrutnym, krwiożerczym ko-
marom... Pobudza to do wesołości całe to-
warzystwo. De Panat woła w żałości, że
umarł, zjedzony przez te „cannibales“! Hra-
bina Anetka gotowa wystawić mu pomnik
w Natolinie; co rychlej więc ogłasza kon-
kurs na epitaphium... W kilka już minut
rodzi się pełen iście francuskiej lekkości,
humoru, ironji czterowersz pana de Bré-
vaunes, epigramik, wynurzający żal nad
śmiercią pan de Panat i — komara, który,
zjadłszy si peu de chose... — umarł
z głodu.¹⁾

Przebrzmiały żarty, umilkł śmiech i za-
marł w toni nowych wypadków i niestrud-
zonego czasu.

Zbliżyliśmy się ku bramie parkowej. Aż

oto niedaleko wyjścia — jakaś świątynia
grecka... Prostokątna budowla, wsparta na
doryckich kolumnach, ozdobiona fryzem
i sztukaterjami. Biegniemy na przelaj po
grząskim gruncie ku owej świątyni. Nie-
stety, zbliżenie widne jej sieroce opuszczenie,
oszpeccenie, upadek... Odrapane i poszczer-
bione mury, odpadłe sztukaterje, z pomiędzy
barwnych fresków sklepienia wyzierają czar-
ne, przegniłe deski... A w głębi — co to?...
Siano!... Sianem naładowano wnętrze świą-
tyni aż po kapitele greckich kolumn, aż pod
sklepienie, zdobne freskami; ażeby zaś wy-
zyskać całkowicie miejsce w tej zaimpro-
wizowanej greckiej — stodole, przebito jesz-
cze sklepienie. Widocznie w ten sposób
chciano połączyć greckie piękno ze swoj-
skim pożytkiem... E viva l'arte!

Na pożegnanie mignął nam jeszcze ów
groźny napis, wzbraniający wejścia do par-
ku... Czyżby ów surowy zakaz miał na celu
ochronę pozostałych w Natolinie nielicznych
zrujnowanych pamiątek? Czyżby?...

Podobno idzie tu tylko o bażanty...



Franciszek Rawita-Gawroński.

OD ŹRÓDEŁ WISŁY DO USTRONIA.

(TROCZĘ SZCZEGÓŁÓW I FAKTÓW).

1)

1. Nieco geografji.

Pragnąc zapoznać czytelnika bodaj
z głównemi rysami historycznego życia oko-
licy górnej Wisły, muszę przypomnieć geo-
graficzne położenie tego zakątka, jednego
z najpiękniejszych i najbardziej zaniedba-
nych pod względem narodowym i admini-
stracyjnym. To, co możnaby nazwać kul-
tura, w znaczeniu europejskiem, kończy się
w Ustroniu. Przynieśli ją ze sobą Niemcy,

którzy stworzyli tu przemysł leśny na wielką
skalę, hutniczo-żelazny, papierniczy, ale
swoim żargonem fachowym skazili piękny
język miejscowy, odznaczający się polszczy-
zną XVI wieku i namnożyli Koźdoniów roz-
maitego gatunku.

Zacznijmy od źródeł Wisły.

Z pod Baraniej góry rozlega się obszerny
widok z jednej strony na dolinę Żywiecką,
a z drugiej Czarnym Wierchem spada ku
miejscu, skąd biją źródła Wisły i rozszerza
się na dolinę Wiślaną aż do jej wylotu pod
Ustroniem.

Spójrzmy na tę okolicę okiem W. Pola,
którem patrzył w roku 1843. Zmienili się
ludzie, ale natura pozostała prawie ta sama.

¹⁾ D'un auditeur ici le tiers repose.
Plaignez sa mort et celle du cousin.
Qui pour avoir mangé si peu de chose
Mourut de faim!...
„Mémoires de la C-tesse Potocka“.



Nie będziemy tu opisywać „pływania po Wandzinej wodzie“ — jak powiadał Acernus w swoim Flisie, ale zatrzymamy się przed rubieżą Ustronia.

W połowie wysokości Baraniej góry od strony Śląskiej wytryska osiem silnych źródeł na północno-zachodniej wklęsłości. Nad źródłami kotlina, obrosła świerkami, Czarnym Wierchem zwana, stoi, zda się, na straży tych strug leśnych, z których Wisła powstaje. Na przestrzeni 15—30 sążni wypływają wszystkie źródła wachlarzowato, a łącząc się trochę niżej w jeden potok, noszą nazwę Czarnej Wisielki, płynącej nagłym spadem od wschodu ku północnemu zachodowi. Płynie ona w łożysku kamienistym aż do miejsca, zwanego Uśc — Czarnej, gdzie wpada do niej potok Wolny, wypływający z pół góry Rubawka. Niżej nieco wpada do Wisielki Białka z pod Skalki. Od tej Białki, zwanej także w starożytności, po słowiańsku Białą wodą, pochodzić ma i nazwa Wisły, którą Niemcy Weisel lub Weichsel nazywają. Oba ramiona dalej już płynącej Wisły łączą się dziś przy moście na drodze do pałacyku myśliwskiego b. arcyksięcia Fryderyka, niedaleko mieszkania nadleśniczego. Od źródeł począwszy, Wisłę dawniej nazywano Wisielką, a dopiero od Ustronia — Wisłą. Od ujścia Białki wpadają do Wisielki z prawego brzegu: potok Malińka, wzdłuż którego powstała z czasem osada tegoż nazwiska, wypływający z pod góry Kopia, a o milkę (raczej ćwierć milki) potok Gościejec, z pod Smerekowca, wzdłuż którego znajduje się także niewielka osiadłość, a wreszcie potoczek Partaźnik. Z lewej strony wpadają do Wisielki: Kopydło, wypływające z pod Kiczory, Dziecheń, zwana także Dziechcinka, z pod Stóžka i Jawornik, płynący z pod Beskidu, zaś bliżej Ustronia zabiera wody strumieni Dobka i Bukowej. Za Ustroniem już jako Wisła płynie, chociaż w obecnych czasach już w połączeniu się Czarnej i Białej Wisielki nazywa się powszechnie Wisłą. Oba ramiona Wisły, Czarna i Biała, spadają niekiedy w głębokich brzegach ostro po kamieniach, a niekiedy przevalają się przez grzędy poprzeczne.

Począwszy od połączenia się obu ramion, Wisielka płynie korytem kamienistym, nie

ustalonem, a zarówno ze wszystkich dopływów, jak i z pod Baraniej, unosi masy żwiru i kamieni, które też w czasie nawałnych deszczów spływają przez różne potoki do głównego łożyska. Stąd rwący pęd wody, szczególnie w czasie wezbrania, żłobi sobie coraz nowe odnogi, obrywa nadbrzeżne zwisy skał i ziemi, unosi drzewa i pnie, rwie mosty, robi zatory i wylewa na pola i łąki. Z tego też powodu uregulowanie koryta wymagałoby chyba obmurowania brzegów, jak to czynią w potokach szwajcarskich, aż do tamy, od której odchyła się kanał, doprowadzający wodę do tartaków byłego arcyksięcia Fryderyka w Ustroniu. Od tej tamy począwszy, bieg Wisły, względnie Wisielki, jest spokojniejszy, a wody płyną niekiedy podłożem namulistego żwiru.

Dolina górnej Wisły, począwszy od połączenia się Czarnej i Białki, rozszerza się w kierunku Ustronia i przedstawia się jako wachlarzowaty szereg dolin, którego osią staje się droga, wiodąca od pałacyku myśliwskiego do Jawornika — przysiółka wsi Wisły — i do Polany, przysiółka Ustronia. Doliny te, spływając od Baraniej i pobliskich gór, z których wszystkie prawie wypływają wspomniane przez nas rzeczki, są następujące: dolina Malinka, Czarnej, Łabajowska, Gościejowska, Dziehcina i Jawornicka.

Dolina Wisielki, czyli górnej Wisły, ma wylot na Polanę i Ustronie, stąd się rozpoczyna falista wyżyna, opierająca się z jednej strony o stoki Wielkiej i Małej Czantorji, a z drugiej — o stoki Równicy i Słiziówki, ciągnąc się przez Lipowiec, Hermanice ku Skoczowu i dalej już w kierunku Krakowa.

Nim jednak o kolonizacji doliny mówić nam wypadnie, słów kilka powiedzieć należy o nazwie samej rzeki, która późniejszej wsi, położonej w swej dolinie, nazwisko swoje dała.

Acernus w przedmowie do pierwszego wydania Flisa, poświęcając go Stanisławowi Gostomskiemu z Leżenic, wojewodzie rawskiemu: „tę rzekę (Wisę), Białą wodę, od starych Słowianów rzeczona, którą i Niemcy od białości po dziś dzień zowią Weisel, a Polacy zaś z niemieckiego Wisłą, rad-bym wyniósł nad on Erydan rzekę w Arata poety z nieba wyprowadzoną,



i wstręty, porty i pożytki jej radbym, by to mogło być, złotem pisał“. Oddawna zapewne wersja o niemieckim pochodzeniu nazwy Wisły upowszechniła się, bo za innymi powtarzał ją i W. Pol w swoich *Obrazach natury*, ale geneza ta niewiele ma wspólnego z Niemcami a nazwa Wisły istniała o wiele wcześniej, niż się Niemcy o źródłach jej dowiedzieli, bo w czasie, kiedy nie tylko Niemcami nie nazywali się, ale z puszcami i górami, skąd obie Wisły wypływają, nie stykali się wcale. Jordanes (o. 552) powiada, że „*ab ortu Vistulae fluminis per immensa spatia Venetarum natio populosa consedit*“. Różne nazwiska nosili Wenetowie, które „*per varias familias et loco mutantur*“. „Wisła — powiada Oter Norweski (o. 900) — wypływa z kraju Wenedow, a kraj ten nazywa się Witlandja (Witland, Weonodland)“. Nawet król Alfred w opisie Germanii (o. 900) na wschód od Moraw wymienia „kraj Wiślan“ (Visle land). Tu już nazwa Wisły zbliża się do polskiej. O Niemcach i niemieckiej nazwie mowy jeszcze nie ma, a liczna ludność słowiańska siedzi zwartą masą. Nie dochodzą tu jeszcze Germanowie ze swoją zaborczą polityką, zajęci przerabianiem i pochłanianiem licznych plemion słowiańskich, siedzących nad Bałtykiem od Łaby i Odry do Wisły, i walką o powstrzymanie budującej się Polski. Tembardziej nie mogli sięgnąć aż do stóp Baraniej, otoczonej puszcami i górami, nie przedstawiającymi dla łupu żadnej zachęty, aż do źródeł Białki, aby stąd rzece całej nadać swoją nazwę.

W anglosaskiej pieśni, którą odnoszą do VIII wieku po Chrystusie, znanej pod tytułem *Podróże śpiewaka*, autor mówi o „puszczy Wiślańskiej“ (tak tłumaczył K. Szajnocha wyrazy „*umb Vistla — vuda*“).

Na tym punkcie, zdaje się, dochodzimy do węzła nieporozumień co do nazwy. Jedno ramię rzeki od źródeł nosi nazwę — teraz — Białej względnie Białki, drugie — Czarnej. Kto dochodził do źródeł, ten wie, że ani jedno ramię nie może być nazwane Białą, Wisiełką, ani drugie Czarną, bo, oprócz zwykłej czystości górskiej wody, żadne z tych ramion nie posiada wybitnego zabarwienia. Co do Czarnej, możnaby jeszcze nazwę usprawiedliwić nie barwą wody, lecz odbijaniem

się w niej — w niektórych miejscach — ciemnej barwy jodeł, zwieszających się nad jej korytem, ale przy zlewie obu ramion woda ma normalną jasność i czystość. Oczywiście, trzeba nie w języku niemieckim, lecz gdzieindziej szukać wyjaśnienia tej nomenklatury, tembardziej, że od źródeł poczynawszy, na całym swoim przebiegu wody Wisły są częściej brudno-złociste, niż według nazwy niemieckiej — białe. Jeżeli Czarna Wisiełka wzięła nazwę od Czarnego Wirchu, to drugie jej ramię — Biała, Białka — mogła otrzymać nazwę swoją tylko, jako antyteza.

Najwcześniejsze zetknięcie się mieszkańców Powiśla, późniejszych Polaków — Polaków, było niewątpliwie z Rzymianami, którzy nad Bałtyk udawali się dla kupna bursztynu. Oni też historycznie pierwsi zetknęli się na północnym wschodzie z wielką a nieznaną dotychczas rzeką, która w owym czasie była niewątpliwie o wiele potężniejszą jeszcze, niż jest obecnie, większą od Odry i Łaby. Nazwali ją też silną, wielką, potężną rzeką. Zdziwiła ich „*vis fluminis*“. W jaki sposób, i czy słusznie z tego pnia łacińskiego utworzyła się najpierw *Vistula*, a potem *Wisła*, — tak czy inaczej rozwiązać tę wątpliwość mogą lingwiści, dość, że nomenklatura łacińska Wisły zjawia się, o ile nam wiadomo, w historii po raz pierwszy u Jordanesa (o. 550 r.) i już odtąd powtarza się stale, przybierając w starej anglo-saskiej pisowni nazwę *Vistla*, bardziej zbliżoną do polskiego brzmienia, niż do niemieckiego, które w znaczeniu symbolicznym przekształciło się na *Weisel* i *Weichsel*.

2. Kiedy i jak skolonizowana została dolina Wisły?

Jakkolwiek najstarszy znany nam dokument z pierwszej ćwierci XIII wieku wymienia osadę Wisłę, wątpić należy, czy jest to ta właśnie Wisła, o której piszemy. Niewątpliwe już i szersze wiadomości historyczne posiadamy o Ustroniu.¹⁾ Ażeby

¹⁾ Josef Staschko: *Cur und Industrie ort Ustrou*. Rękopis powyższy znajduje się w archiwum Zboru protestanckiego w Ustroniu. Odpis zawdzięczam księdzu pastorowi z Ustronia, Nikodemowi.



jednak trzymać się biegu rzeki, zaczniemy od dzisiejszej wsi Wisły. Jest to w obecnym czasie bardzo ludna gmina, licząca około 4,700 mieszkańców,¹⁾ posiadająca bardzo niewielki punkt skupienia koło kościoła ewangelickiego, gdzie, starym zwyczajem, znajdują się dwie karczmy, w których b. arcyksiążę miał przywilej wódki własnej fabrykacji rozpajania ludności miejscowej. To też w Wiśle dotychczas znajduje się kilkanaście karczem, gdzie karczmarze pełnili służbę agentów komory (zarządu dóbr b. arcyksięcia), a napisy „sprzedaż tronków Arcyksięcia“ zdobią frontony górnego odrzwia dotychczas. Punktami zbiorowemi dla narad, nie najlepszej opinii, są przeważnie karczmy Halamy i Śliwki (czyli jak sam pisze „Slifki“), których właściciele i dzierżawcy chętnie, niestety, bawią się w propagandę niemiecką, a nawet czeską — w obecnych czasach jeszcze. Gmina Wisły jest rozrzucona na rozległych obszarach i obejmuje przytykające do wielkiej doliny wiślańskiej boczne, rozłożone wachlarzowo i zwieszające się nad niemi wzgórza. Jako przysiołki, które ze względu na zaludnienie, jako też oddalenie od głównego ośrodka gminy, gdzie się znajduje kościół ewangelicki, mogłyby stanowić odrębne gminy są: Malinka i Jawornicka dolina. Oprócz tego rozrzucone są osady, niekiedy większemi lub mniejszemi grupami, a wówczas nazywają się „dworami“ „na Kamiennej, na Skalnistej, na Groniku, na Bukowej“, jakoteż grupa osad na wzgórzach i dolinach zamkniętych, zwaną Tokarnią. „Dwory“ noszą rozmaite nazwy, często o nazwiskach, nie mających nic wspólnego z obecnymi właścicielami. Tak więc są „dwory“ następujące: Wańków w Jaworniku 4 chaty, Swierczka 2 chaty, Pinkusów za Wisłą, Obłążnik koło tartaku, Łasków, na Kamieniu Szturców, Zdejszy, Magusie, „Józefa“ i inne.

Ta nadzwyczajna rozpiezchłość siedzib Wisły, jakoteż pojedynczo, a rzadko grupami leżące osady na górach, zdają się wskazywać, że kolonizacja tej części doliny wiślanej musiała się odbywać nie równocześnie i nie równomiernie, że pierwotnie musiała

posiadać charakter pasterski, tak, że pasterstwo wyprzedziło kolonizację rolniczą. Z charakteru osiedlania się ludności — na płaszczynach dolin i na górach — można-by wnosić, że osadnictwo postępowało dwoma prądami: pasterskie na groniach i wyżynach, jakoteż rolnicze na nizinach.

Nasuwa się pytanie: jaka ludność i kiedy mogła skolonizować dolinę Wiślańską? Na to może być tylko jedna odpowiedź: skolonizowała ją ludność polska, zapewne najbliższych okolic. Olbrzymie, nieprzerwane obszary leśne, przedzielone górami niezbyt wysokimi, i dolinami, jakoteż polanami gęsto przecięte, nadawały się do gospodarstwa raczej pasterskiego, niż osiadłego, które, jak wszędzie tak i w tym zakątku, poprzedzić musiało kulturę rolniczą, łącząc powoli system pasterski z uprawą roli.

Ze wszystkich stron Beskid był otoczony ludnością słowiańską, etnograficznie jednolitą, która z czasem na dalszych obszarach przybrała nazwę Polan i Polaków. Mówiąc o Wiśle — jako rzece — tak samo o Wiśle, jako wsi, musimy, z braku faktycznych danych krażyć ciągle w dziedzinie hipotez, ale hipotezy te nie są pozbawione słusznej podstawy. Odnosi się to zarówno do kolonizacji, jak i do samej nomenklatury rzeki i wsi.

Skąd, z jakiej strony, w jakim kierunku mogła rozpocząć się kolonizacja tego obszaru, który obecnie wsią Wisłą nazywamy? Nie mamy na to żadnych dowodów, oprócz logicznych kombinacji. Ogromne obszary leśne, przedzielone małemi polanami i małemi dolinami, nadawały się do gospodarstwa pasterskiego, które nie wymagało tyle trudów i trosk, co rolnictwo. Prawdopodobnie zatem w części rozpoczęło się osadnictwo i stąd to może pochodzą owe liczne grupy osad leśnych lub dziś na starych karczunkach leżących, które nazywają „dworami“. Nie tyle zapewne z potrzeby odrębnej żywności, niż ta, jaką nastęrczało pasterstwo, ile z potrzeby łączenia się dla kultu religijnego i potrzeb społecznych, pasterze osiadali w dolinach, i uczyli się od najbliższych sąsiadów rolnictwa. Takim najbliższym sąsiedztwem, osadzonem przez ludność rolniczą, był Ustroń, stąd zatem musiała rozpocząć się kolonizacja rolnicza Wisły, cho-

¹⁾ Według spisu z r. 1910 znajdowało się w Wiśle: ewangelików 4,434, rzymskich katolików 239, żydów 6, — razem 4,679 mieszkańców.



TYP GÓRALSKI.

fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

ciaż nie wyklucza to zgoła możliwości różnego osadnictwa przygodnego.

Następowało ono niewątpliwie bardzo powoli. Czas ten, nie dający się określić, trzeba liczyć na wieki. W przestworze tego czasu zaszły dwa wielkie wydarzenia dziejowe: skupianie się na wielkich obszarach jednolitej etnograficznie ludności, co dało początek tworzeniu się państwa polskiego, i wprowadzenie religii chrześcijańskiej.

W dzisiejszej wsi Wiśle nie znaleziono, o ile wiadomo, żadnych śladów bałwochwalstwa. Może ściślejsze badania życia ludowego w jego zwyczajach i obyczajach odkryją te ślady. W zbiorze pieśni, znanych nam, ani Andrzeja Cieniwały (Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna: Zbiór wiadom. do antrop. kraj. t. IX), ani Malinowskiego (Powieści ludu polna Śląsku: Materjały antropol. — archeolog. i etnogr. t. IV), Bystronia i innych, ani też w dorywczych wiadomościach o Śląsku nie znajdujemy śladów pogaństwa, nawet ognie świętojańskie, jako przeżytki, znikły, a zwyczaj ochraniań bydła od złych wpływów przez zawieszanie nad stajniami piołunu, bylicy, jakoteż różnych innych roślin, zamienił się w zawieszanie nad drzwiami stajen różnobarwnych papierków.

Nazwa rzeki Wisły powstała, a może



LAS BUKOWY W WIŚLE.

fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.



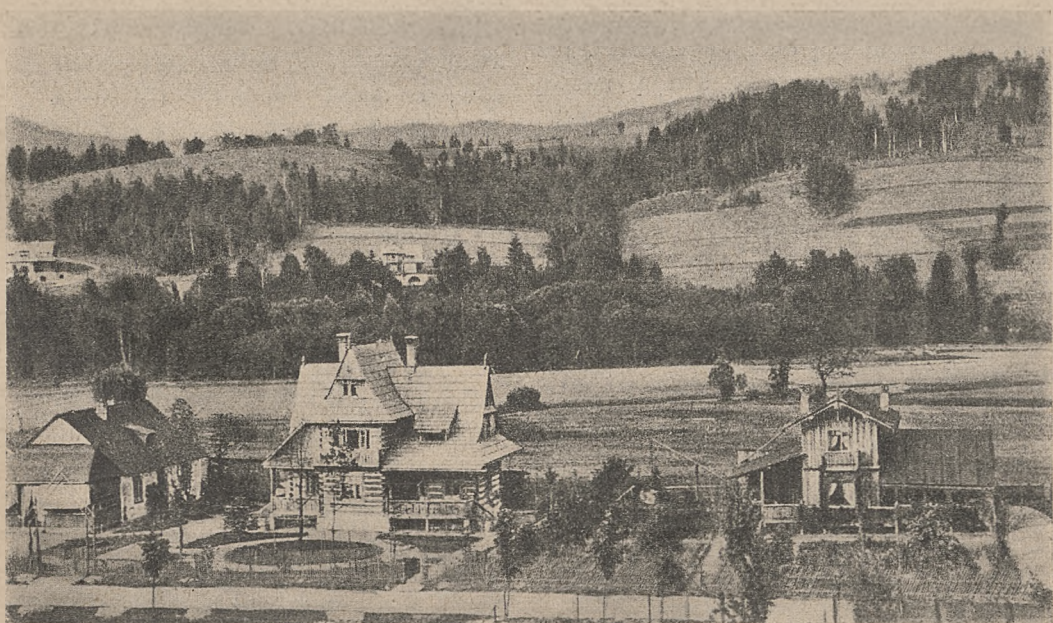
i ustaliła się, o wiele wcześniej, niż powstała osada tego nazwiska. Powstanie jej nie jest pozbawione barwy legendowej, a zatem cząstki prawdy, która w każdej legendzie się mieści. Dwie są wersje legendarne, dotyczące osadnictwa Wisły.¹⁾ Jedna powiada, że jakiś książę — oczywiście Piastowicz — zesłał w te miejsca za karę jakiegoś winowajcę, który pierwszy dom zbudował i pierwszy osadę założył. Druga legenda opiewa, że książę jakiś podarował swemu ulubieńcowi obszar ziemi, na którym później rozsiedliła się Wisła. Powtórzył za Hoffem i za innymi te podania pastor Mrowiec w swoim zeszycie, słuszną robiąc uwagę, że nie drogą legendarnego osadnictwa, lecz raczej powolnego osiedlania się ludności z bliższej i dalszej okolicy należy przypisać zaludnienie się Wisły na dzisiejszym jej obszarze.

¹⁾ Rps. z archiwum kościoła ewangel. w Wiśle p. t. *Aus der alten Vergangenheit Weichsel's. Vortrag gehalten von Pfar. Georg Mrowiec aus Weichsel an 2 Juni 1910 in der Monatsversammlung der deutsch-ewang. Bundes im Teschen.* Także w broszurze B. Hoffa *O Wiśle.*



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

DOLINA GOŚCIEJOWSKA W WIŚLE.



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

WIDOK NA GRONIE W WIŚLE.



Wskazaliśmy, jaką drogą osadnictwo postępować mogło, a że ono rozpoczęło się od pasterstwa, świadczy o tem najlepiej długowiekowy serwitut pasania bydła w lasach, otaczających Wisłę, i budowania sobie „szafasów“, jako letnich przybytków dla bydła i pasterzy. Pierwej powstały na obszarach Wisły szafasy, niż domy mieszkalne. Z gór i polan górskich schodzili pasterze do dolin, przylegających do wielkiej doliny Wisły, budowali tu domy i rozpoczęli małe gospodarstwa rolne, połączone z pasterstwem. Pozostawał ten zwyczaj aż do naszych czasów, a nawet po skasowaniu serwitutu szafasów przez komorę arcyksięcia Fryderyka, zwyczaj pastersko-rolnego gospodarstwa przetrwał do dnia dzisiejszego. Ponieważ, jak wszędzie zresztą, pierwotne posiadłości pierwszych osadników nie były ograniczone, rozrastające się rodziny wydzielaly się ze wspólnego niegdyś „dworu“, jako osady macierzystej, i po wzgórzach lub na stokach nad dolinami zakładały nowe kolonie.

Nie mamy żadnych dat ścisłych kiedy, co do czasu, rozpoczęła się kolonizacja miejscowości, zwanej później Wisłą. Pasterstwo mogło tu istnieć nawet w czasach przedhistorycznych, ale nazwa Wisły, jako rzeki i miejscowości, jest już nie tylko historyczną, ale i książkową, powstała w tym okresie, kiedy społeczeństwo polskie zapoznało się już z łacińską nazwą rzeki i jej źródłami. Osada zatem, która najprawdopodobniej rozpoczęła się od źródeł rzeki, już znanej jako Wisła, od niej swoją nazwę przyjęła. W liście biskupa wrocławskiego, Wawrzyńca Laurencjusza, z dnia 25 Maja 1223 roku pomiędzy istniejącymi już osadami na dzisiejszym Śląsku, jak Goleiszów, Iskrzyczyn, Puńcowa, Bilowiska, Zamorsk, Nawsie, Ogrodzona, Radwanice i inne, spotykamy także nazwę Wisły, ale jakiej? Istniała inna Wisła — Strumień.¹⁾

W liście biskupa wrocławskiego, Wawrzyńca, nie mogło być mowy o Wiśle, niedaleko Czarnej i Białej Wisielki osadzonej, gdyż nazwa Ustronia jako nowej osady występuje dopiero w r. 1304.²⁾ Trudno przy-

puścić, aby dalej od Ustronia, w głębi gór położona, Wisła powstała wcześniej, jako osada, niż Ustroń, lepiej dla gospodarstwa rolnego położony.

Popiołek¹⁾ zalicza Wisłę „do osad późniejszych“, jakkolwiek czasu założenia i dowodów na to nie przytacza żadnych. Oczywiście, kolonizację należy rozumieć jako prawidłowe osadnictwo, gdyż stoki gór, schylające się ku dolinom, zlewającym się około dzisiejszej Wisły w jedną wielką dolinę, musiały się zaludniać przygodnie, ale o wiele wcześniej w kolonizacji rolnej, przez pasterzy kóz i owiec (Wołochami), którzy dali początek szafasom.

Nie udało nam się natrafić na faktyczne dane, odnoszące się do osadnictwa Wisły, ale niewątpliwie stałego osadnictwa za wiedzą i wiadomością właściciela ziemi z początku nie było; dzika zaś kolonizacja nie mogła się różnić od ogólnie przyjętych zwyczajów. Musimy pamiętać o tem, że w Polsce wiek Kazimierza W. był wiekiem największego rozrostu osadnictwa, nie na prawie poddańczem, które dopiero od Statutu Toruńskiego nad Polską zawisło, lecz na prawie czynszowem. Ten sam system czynszowy panował i na Śląsku Cieszyńskim, pomimo odrywania się jego, coraz większego, od pnia macierzystej Polski.

Osadnik zatem był obowiązany do rocznego czynszu, z góry unówionego i stałego. Dla rolnych osad istniały łany frankońskie, zwane wielkimi, obejmujące około 30 hektarów, i małe, flamandzkie, mające około 17 hekt. Odpowiadały one późniejszym polskim włókom i półwłókom. Od flamandzkiego łanu płacono 12 groszy i 1 wiardunek, od frankońskiego 15 — 18 gr. Cena ta jednak rosła i dochodziła do 1/4 grzywny srebra, coby odpowiadało 20 koronom austr. przedwojennym.

Zazwyczaj wszakże uwalniano od czynszu na lat 10. Takie osady zwano ligotkami.³⁾ Do tego czynszu dodawano jeszcze

¹⁾ Popiołek: Dzieje Śląska austriackiego 1913 str. 72.

²⁾ Ibid. 54.

³⁾ Rzeczownik ten znajdujemy dotychczas w języku czeskim (lhota) i rosyjskim (lgota), jako oznaczający ulgi.

¹⁾ Nad Wisłą na granicy Śląska prusk. między Zabłociem a Bajkami.

²⁾ Rps. Mrowca: Aus der alten Vergangenheit Weichsel's.



trzy razy do roku, na wielkie święta, pewną ilość jajek, kur, lnu, baranów i t. p. według umowy.¹⁾

Niekiedy wymawiano sobie robociznę — kilka dni do roku; główną jednakże podstawą dochodu z gruntu bywał czynsz i podatki w naturaliach.

Niema żadnej przeto przesłanki do przypuszczenia, ażeby prawidłowe, a dożywotnie osadnictwo w Wiśle odbywało się na innych podstawach, mogły tylko istnieć niewielkie odmiany lub ulgi.

Osadnicy z Wisły o tyle różnili się od innych, że na trzy wielkie święta dawali, oprócz czynszu, 15 kop pstrągów wędzonych i tyleż świeżych, szafaśnicy zaś — kozłą albo baranka. Danina pstrągów świadczyłaby, że rybołówstwo w Wiśle i jej dopływach było wolne.

Na czele gminy stał wójt, zwykle osadczy, zwany niekiedy sołtysem (Schultheiss), za co dostawał 2 — 3 łanów bezpłatnie. Wójt początkowo bywał dziedzicznym. Osadnik, jak i w całej Polsce, był wolny, mógł opuścić wieś każdego czasu, jeżeli miał inne środki do życia, niż rolnictwo lub gospodarstwo pasterskie (szafaśnicy). Osadnicy siedzieli na prawie niemieckiem. Gminy na takim prawie były związkami różnych ludzi, połączonych w imię wspólnych potrzeb.

Wiśla musiała stanowić, jako obszar leśny, częśćkę dóbr książęcych i należała zapewne do ogólnej administracji komory w Ustroniu.

Położenie włościan w Wiśle, jak i na całym Śląsku, już w połowie XVIII wieku, gdy pańszczyzna ciążyła w całej pełni nad ludem, było niezwykle uciążliwe i nie da się porównać nawet z temi obowiązkami, jakie w całej Polsce istniały. Ludność burzyć się zaczęła. Już na początku XVIII w. ludność uciekała do Polski. Całe wsie nadgraniczne wyludniały się. W roku 1706 poczęli się chłopci gromadzić do samoobrony i narad.²⁾ Zmuszano poddanych do kupna wódki, piwa, zboża i innych towarów w stanie zepsucia po cenach wygórowanych (1715). Karol VI

wyznaczył osobną komisję do badania krzywd, ale działalność jej nie miała charakteru rozstrzygającego, lecz informacyjny raczej i dlatego pożytku nie przyniosła. Chłopi próbowali zaniechania pańszczyzny, ale ich siłą zmuszano do obowiązków.

Położenie wsi, należących do komory, a było ich 29, nie było zgoła lepsze, niż starszych, a do tej kategorii należała Wiśla, Brenna i inne. Wsie te wniosły skargę na zarząd komory za narzucenie im pewnej ilości wódki i piwa. Wiśle, która wówczas była niewielką osadą, kazano brać 1 wiadro i 19 garncy wódki.¹⁾ Najbardziej Wiślanów martwiło to, że wódka była w najgorszym gatunku, gorsza niż w gospodach kameralnych. Sprawę tę rozstrzygnął o tyle rząd austriacki, że nakazał aby — wódka była lepsza, ale nie skasował zgoła przywileju komory (1769).

Położenie okolic podgórszych było w ogóle lepsze pod względem zależności od ludności poddańczej w folwarkach, wyłącznie trudniących się gospodarstwem rolnem. Do wsi, objętych tą kategorią, należała także Wiśla. Ponieważ komora nie posiadała tu folwarku, nie potrzebowała zatem i robocizny, zamiast robocizny składano opłaty. Składano je na dzień św. Jana Chrzciciela i na Boże Narodzenie. Z gruntów zagrodniczych płacono po 5 reńskich, z innych mniej. Osobno płacono od kawałków gruntu, łąk lub stawów przykupionych lub wydzierżawianych od komory — według umowy. Osobno też płacono za prawo pasania na polach pańskich, po 12 graj. od krowy i 9 od jałówki. Cała gmina dawała od kawałka „kopianiny“ 2 reń. 12 graj., od wygonu bydła 30 gr. i 2 kury. Od każdego warsztatu tkackiego płacono 32 gr.²⁾

Ciężary te były do pewnego stopnia normą, nie wiemy wszakże w jakiej mierze, co do wysokości, obowiązywały Wiśle.

Ścisłe daty co do Wisły pochodzą dopiero z końca XVIII wieku.³⁾ W tym czasie było w Wiśle 84 zagrodników chałupników, a 137 nowych osadników, którzy so-

¹⁾ Ks. Oskar Zawisza: Kolon. księstwa Cieszyńskiego. Zaranie Śląskie, kwartalnik liter. Zeszyt IV.

²⁾ Popiołek: Hist. Śląska austr. str. 251.

¹⁾ Popiołek: Hist. Śląska aust., str. 216.

²⁾ Popiołek: Hist. Śląska austr., str. 219.

³⁾ U Popiołka według źródeł archiwalnych ministerjum spraw wewnętrznych pod znakiem IV. K. Teschner Kammer, str. 241.



bie kupili łąki od komory i przy nich się osiedlili. Płacili oni czynsz od gruntów i łąk, zwozili drzewo na piłę książeńcą, a za prawo wyrabiania gontów płacili 6 gr. od kopy, pomagali w koszeniu przy żniwie i spławianiu drzewa, a roczna robocizna wynosiła 960 dni przy zapłacie dziennej 12 graj., a nałto w czasie żniwa i kopania otrzymywali jedzenie. Zamiast przedzenia składali opłaty. Za prawo paszenia bydła obowiązani byli z początku dawać dziesiątą sztukę, co później zamieniono na opłatę pieniężną, rachując owcę po 1 zł. 24 gr., krowę po 6 zł. reń., jałówkę po 3 zł. Oprócz tego otrzymywali z komory drzewo na oświetlenie domów, naprawę wozów i opał, jakoteż bezpłatne zbieranie liści i mchu.

Obszar, przeznaczony pod pastwisko, wynosił 42,856 mórg austr., a na nim od najdawniejszych czasów pasło się bydło osadników za opłatą lub bezpłatnie.

Pod szałasem rozumiano z początku tylko prymitywnie zbudowany przytułek dla ludzi i bydła, a wokół takiego szałasu było zwykle pastwisko szałasników. Ziemia nie była ich własnością, ale prawo pasania bydła, owiec i kóz nabyli za zapłatę, tak samo, jak prawo osiadłości. Ponieważ ziemia, na której pobudowali się i której używali, nie była ich własnością, komora mogła ich przenosić lub usunąć. Z tego powodu wynikały długoletnie zatargi między gminą a komorą. Szałasnicy uprawiali gospodarstwo nabiałowe na sposób wałaski, wyrabiając masło, a przeważnie sery.

Nadzór ze strony komory sprawował urzędnik, zwany wojewodą, a mianowany przez zarząd arcyksięcia. Występowali oni w roli pośredników między ludnością a komorą, posiadali w pewnym zakresie władzę sądowniczą, prowadzili rejestry bydła i spisy szałasników. Zjazdy swoje odbywali w Cieszynie, gdzie gminy obowiązane były ich podejmować.

Długowiekowe używanie pastwisk i siedzib, odnawianych z pokolenia w pokolenie, wydawało się w oczach szałasników równoprawnym z prawem własności. Gdy jednak własność ziemi, dawniej należącej do polskich książąt Piastów, przeszła, po śmierci ostatnich Piastowiczów, ks. Fryderyka i El-

żbiety-Lukrecji, we władanie książąt niemieckich, stosunki zmieniły się na gorsze. Ludność widziała zmianę, ale nie wiedziała, że już władza nad nią, z rąk polskich książąt przeszła do książąt obcego plemienia. Z początku szło wszystko po dawnemu z niewielkimi zmianami, ale szałasników ograniczono w prawach co do pasania bydła, używania lasów, a nawet wolnej komunikacji.

Trwało to do roku 1756, kiedy wyszła ustawa lasowa, nakazująca zalesianie bodaj połowy wyciętego obszaru. Było to wstępem do prawidłowego gospodarstwa lasowego, a zapowiedzią represyj — z konieczności. Nie można prowadzić prawidłowego leśnego gospodarstwa tam, gdzie są serwituty — a zatem szałas. Ażeby wprowadzić lepsze gospodarstwa leśne, ks. Alfred Saski sprowadził urzędników z Saksonji (1766), którzy ograniczyli swobodę pasania gdzie kto chciał, rozpoczął tranzlokację ludności, wyznaczając kawałki pól i łąk w miejscach nie zawsze dostępnych, nawet tym, którzy już poprzednio kupili łąki górskie lub parcele leśne. Zabroniono im brać drzewo, niekiedy nawet na opał.

Odbieraniu pastwisk gorąco sprzeciwiała się Wisła, która pod tym względem okazała się najbardziej oporną. Gmina Wisły wspólnie z Brenną wystąpiły ze skargami. Do zaognienia sprawy przyczynił się urząd obwodowy, nie bez chęci przypodobania się komorze, wydając okólnik, pozwalający służbie leśnej strzelać bydło.

Skarga do księcia na zarząd nie miała poważnych następstw. Wisła wraz z sąsiednimi gminami udały się wprost do cesarza (1796), a gdy na nią nie otrzymały odpowiedzi, ponowiły skargę na urzędników komunalnych. Wysłano komisarza do zbadania tej sprawy i przywrócenia ugody. Grożono, że nie będą płacić nałożonego podatku, ale będą szukać pomocy u króla pruskiego. Proponowano, że co roku będzie wyznaczona w każdym rewirze tylko część do zalesienia, sami górale mieli oznaczyć, jakie części pastwisk mają pójść pod zalesienie, żądano tylko, aby one dotyczyły lasów książeńcych; wolno im było obcinać gałęzie drzew wysokopiennych, wycinać krzaki na pastwiskach, trzymać za opłatą większą ilość bydła, ale szkody w lasach miały być karane.



Ostatecznie za namową pastora Wisły, Bystronia, Wiślanie przystali na ugodę. Niejasno przeprowadzona ugoda wywołała nowe zatargi, ale też chciwość urzędu komunalnego niepoślednią odgrywała tu rolę. Zabroniono im pasania kóz i wyrąbywania krzaków na wydzierzawionych i opłaconych pastwiskach (1813). Przeciwno tym zarządzeniom Wisła wniosła protest, broniąc się tem, że nie tyle kozy niszczą las, ile sam zarząd komory, który je wyrąbuje i na potasz wypala.

W roku 1820 niby załatwiono spór, pozwalając na paszenie większej ilości kóz. Ale zarząd komory nie umiał pogodzić swego interesu z interesem ludności miejsco-

wej i uwzględnił tylko interes gospodarstwa leśnego, o ile można najbardziej postępowego, nie bacząc zupełnie na kilkowiekowe prawa ludności i nie chcąc ich realizować sprawiedliwie i uczciwie. Komora walczyła o dochody z lasu, a ludność o prawo życia, bo pozabawiona dostatecznej ilości roli, tylko w hodowli bydła, owiec i kóz widziała możliwość przeżycia. Skutkiem takiego stanowiska doszło do konfliktu, który rząd uspokoił drogą siły zbrojnej i więzieniem przywódców.

Na czas jakiś nastął spokój wobec gwałtu i pogodzenia się z przemocą. Ale już w drugiej połowie XIX w. wybuchły nowe nieporozumienia, o których na swoim miejscu słówko powiemy.



Antoni Langer.

ISTOTA LUDOZNAWSTWA, JEGO GRANICE I CELE.

2)

Miasto z natury swej organizacji tworzy ognisko, w którym płomienie zbiorowego życia silniej wybuchają, aniżeli na zagonach cichej wsi. Największa bowiem różnorodność ludzkich charakterów, skupionych na małej stosunkowo przestrzeni, zlewa się w jeden twór, posiadający, bądź co bądź, pewne określone cechy. Jednakże byłoby błędem mniemać, jakoby ludność miejska posiadała stałe i ściśle granice, wyodrębniające ją od pozostałych obywateli kraju, albowiem owe granice w każdym narodzie ulegały ciągłym wahaniom, zależnie od wpływów, jakie wywierały miasta na bieg wypadków historycznych.

Miasta, odgrywające rolę wielkich gospód na ruchliwych gościńcach ludzkiego ży-

wota, ściągały stale ku sobie bądź na stały, bądź chwilowy pobyt różnorodne żywioły, starając się powiązać je wspólnością materialnych interesów. To też wśród owych żywiołów nie mogło utrwalić się silnie poczucie komunalnego pokrewieństwa, tej gromadnej łączności, co ujednostajnia myślenie i czucie jednostki z otoczeniem. Indywidualność jednostki w rozgwarze miejskiego życia łatwiej mogła utrzymać swą niezależność i odrębność, aniżeli pośród wioskowej gromady; nie zaznając, przy wprowadzaniu w czyn egoistycznych pragnień, zbyt silnych ograniczeń ze strony otoczenia, mogła się łatwiej uniezależnić i przyzwyczajając do znacznej w swym postępowaniu swobody, którą ukochawszy, poczęła usilnie propago-



wać. Przeto z ognisk miejskich stale wpływało szerokimi falami tchnienie demokracji, chętnie torujące drogi obcym żywiołom i skwapliwie dające przytułek nieznanym w kraju zdobyciom kultury. Nic więc dziwnego, że w historii rozwoju każdego narodu miasto stanowi jedno z najważniejszych ogniw. Tutaj bowiem mieści się ośrodek najskrytszych prądów politycznych, przebiegających w narodowym organizmie, tutaj wchodzi w najżywszy kontakt pierwiastki czysto rodzime z obcymi, próbują swych sił i twórczych zdolności, najszybciej asymilując nowe zdobycze wszechludzkiej wiedzy i tutaj wreszcie wszystkie warstwy narodu mniej więcej stają na jednej platformie harmonijnego ze sobą współżycia.

Zależnie przeto od jakości kierowniczej siły w danym mieście tworzy się jego charakter, znaczenie i udział w całokształcie życia narodowego. Natomiast jego misja historyczna jest ściśle uzależniona od trwałości rodzimych tradycji i wiary w ogólny cel całego narodu, a nie w interes li-tylko lokalno-stanowy. To też stan mieszczański, im wyraźniej siebie widział, jako naród, i ogarniał żarem uczucia całość, tem i jego samopoczucie historyczne stawało przed nim coraz jaśniej, krzepło i potężniało wolą czynu.

Aczkolwiek dzisiejsze miasta w przyspieszonym tempie podpadają pod wpływy szablonu kosmopolitycznego, tracąc specyficzne rysy zewnętrznej oryginalności, urabiając oblicza swych ulic na jedną modłę, jednakże istota wewnętrzna ich charakteru nie ulega znów tak łatwo szkodliwym przeobrażeniom, lecz w miarę swych rodzimych sił stara się przeciwstawiać złu, aby zachować psychiczną czystość swych cech i tem samem dźwizżyć sztandar przodownictwa w ekspansji narodowej.

Patrząc na karty dziejów ludzkości, nie będzie paradoksem, gdy powiemy, że dynamiczna siła miast jest miernikiem siły narodowej, albowiem od ich duchowej postawy zależy ogólna sprawność w działaniu wszystkich obywateli kraju. To też przenurtnienie do dna onej siły i dokładne rozpoznanie gleby kultury, na której i ona wzrosła, należy do zadań zbyt ważnych dla dziejów kultury ojczystej,

by ją miano leniwie zaniedbywać. I tutaj właśnie, jakżeśmy rzekli, nauka ludoznawstwa ojczystego musi przyjść z pomocą, albowiem czuje się ona, jak już wiadomo, powołaną do badania i rozjaśnienia możliwie wszystkich istniejących form życia zbiorowego, do zgrunowania genezy duchowych przejawów, nieświadomie wpływających nazewnątr z naturalnego powiązania ludzi w jedną gromadę, która, historycznie i geograficznie uorganizowana, stanowi naród. W tym celu ludoznawstwo, nie poprzestając na badaniu prymitywnych wyobrażeń i tradycji, istniejących w najniższych warstwach narodu, winno w zasadzie obejmować warstwy średnie, posiadające tak samo swe specyficzne wyobrażenia, tradycję i obyczajową psychologję. Mając swój własny naród przed oczyma, ogarnia całokształt jego życia i bynajmniej nie oddziela jednej warstwy od całości organizmu narodowego, gdyż, jak było już mówione, wszelkie objawy dyferencjacji historyczno-kulturalnej wywołują ogólne zmiany we wszystkich słojach społeczeństwa, poczynając od podziemi, a kończąc na szczytach.

U nas zwykło się ludoznawstwu albo zgoła nie nakreślać żadnego programu pracy, pozostawiając otwarte pole dla indywidualnej dowolności, albo znów odpowiednio do opodatkowanych przez chwile mody szumnych teoryj, wyznaczono mu mniejszy lub większy zakres działania. To też, pomimo herkulesowych wysiłków takich Kolbergów, Karłowiczów, Glogerów ludoznawstwo nasze nie zdołało unocznąć swemu narodowi: z czego się składa fundament jego ducha, na czem polega siła zwyczajnego porządku zbiorowej woli polskiej i jaką rolę odgrywają dla narodu bohaterzy, zakuci w granit ludowych wierzeń. A nie starczyło ku temu sił dlatego, że nauka ojczystego ludoznawstwa nie pokusiła się ogarnąć ramieniem swych badań wszystkich warstw i tem samem nie mogła znaleźć należytego posłuchu w narodzie.

Nie chcąc na tem miejscu poruszać błędów w samej metodyce, dotyczących naszych badań ludoznawczych, ani uwypuklać przyczyn zaniedbania w Polsce tak ważnej gałęzi wiedzy, należy zaznaczyć, że niepowetowaną wprost szkodę dla dziejów na-



szej kultury stanowi brak żywego zainteresowania się podwalinami duchowej struktury naszych miast i miasteczek, czyli niemal zupełne zaniedbanie prowadzenia naukowych badań ludoznawczych nad naszym mieszczaństwem, którego psychiczno - duchowe przejawy najmniej są znane. Coprawda nie budziły one nigdy szczególniejszego zainteresowania, albowiem, jako naród par excellence rolniczo-rycerski, najchętniej odwracaliśmy oczy od nich, pozostawiając do naszych grodów wolny wstęp obcym, napływowym elementom. Aliści pomimo tak niekorzystnych warunków typ mieszczaństwa polskiego zdołał wypłynąć na widownię życia i w pewnych momentach historycznego życia umiał zająć niepoślednie miejsce i stworzyć awangardę dzielnych bojowników Niepodległości.

Jeśli chodzi o odtworzenie jego rysów z dawnej przeszłości, to materiały ku temu są dość obfite. Gorzej natomiast ma się sprawa, skoro idzie o zobrazowanie polskiego mieszczaństwa doby obecnej, o określenie, o ile jego tradycje i wierzenia są czysto naszymi, w jakim pozostają stosunku do całości naszych wierzeń ludowych, ile w nich przebija pierwiastków obcych, a ile czysto rodzimych, oraz ile tętni sarmackiej tężyzny w jego charakterze, w trybie czucia i myślenia. Pod tym względem zgoła nie znamy naszego mieszczaństwa, zwłaszcza z miast prowincjonalnych, na które wciąż jeszcze spozieramy oczyma szybkonogich turystów. To też nie dziwota, że miasta i miasteczka są li-tylko gniazdami hałaśliwej masy żydowskiej, placówkami niemal całkowicie utraconemi dla naszego narodu. Ten przesadny pogląd nie pozwala dostrzedz wyraźnie tych czynników, które stanowią istotę polskości, rdzeń rodzimości naszych miast i miasteczek, tę prężną siłę, powołaną do wskrzeszenia narodowego dobrobytu.

Mieszczaństwo np. małomiasteczkowe, zwane pogardliwie przez lud wieśniaczy i obywateli miejskich „tykami“, nie obsiada coprawda kołem rynku, nie wybija się na przodowe miejsce, lecz wstydliwie gnieździ się w bocznych uliczkach, po zapłociu, zdala od krzykliwego rozgwaru wędrowniej ludności, trudniąc się głównie rzemiosłem i rolnictwem, a rzadziej handlem; żyje ono ży-

ciem cichem, swoistem, dość jednak odrębnem od ludu wsi. Siła jego charakteru jest nieugięcie twarda i nieustępliwa z raz zajętych stanowisk, lecz trzeba otwarcie wyznać, jak wielce jest niewykszoloną i nieprzygotowaną do wartkich prądów współczesnego życia na miarę Zachodu. Owo tradycyjne mieszczaństwo jest ogniwem pośrednim między ludem a inteligencją, ogniwem, którą należy gruntownie poznać, aby móc należycie wykorzystać jego młode, niewyćwiczone siły do pracy nad pomnażaniem dóbr narodowych.

Czy wiadomo np. jaki noszą charakter — zwłaszcza w małych miasteczkach — obrzędy chrzcin, pogrzebów, wesel, zabaw, jakie zachowały się tradycje odnośnie rzemiosł, co za odcienia gwarowe istnieją w poszczególnych miastach i miasteczkach, lub jakie pieśni i podania wędrują wśród miejskiej ludności,—oraz pochodzenie i rozwój nazw topograficznych naszych miasteczek. Są to kwestje dotychczas prawie nie poruszane w należytej mierze, gdyż „miasto zna wstwo“ nasze nie stało się przedmiotem specjalnych badań, jak to ma miejsce na Zachodzie. Dlatego też terenem badań ludoznawczych musi stać się u nas również i miasto z jego splotem odwiecznych tradycji, wierzeń, z jego sposobami czucia i myślenia, ściśle złączonemi z obyczajowemi formami życia miejskiego. Ciekawem i godnem uwagi zagadnieniem byłoby: kreślenie wędrówki wierzeń i przesądów rdzennie ludowych ze wsi do miast, ich stopniowe przemiany i przystosowywanie się do warunków dyferencji socjalnej, oraz wpływ warunków wielko i małomiasteczkowych na ich strukturę. Tutaj wchodzi już w grę: klasy, zawody, stany, posiadające tak samo swą nader ciekawą fizjognomję.

Wielkie miasta, jak wiadomo, w dziedzinie wiaronawstwa są bogatym źródłem dokumentów, których wartość zwłaszcza u nas nie została należycie oceniona.

By się przekonać o trwałem istnieniu zabobonnych skłonności np. wśród wielkomiejskiego pospólstwa, spójrzmy chociażby na szpalty wielkich dzienników Zachodu, a znajdziemy co dnia sążniste kolumny szarlatańskich ogłoszeń, tchnących średniowieczną magicznością. Mało jest dzielnic w wiel-



kich miastach Europy, gdzieby nie zamieszkiwało kilku sławnych: chiromantów, kabałarzy, wróżbitów, odkrywaczy przyszłych losów, somnambulików, odgadujących przyczyny chorób i sprzedających prawdziwe, znachorskie eliksiry zdrowia, miłości i t. d. Wystarczy, gdy powiemy, że „Le Matin“ jeden z najpoczytniejszych dzienników w Paryżu, tego osławionego centrum wielkiej kultury, umieścił, podług obliczeń Danson, w dniu 13 lutego 1913 r. na swych łamach ni mniej ni więcej jak tylko 52 szumnych ogłoszeń, zachwalających usługi rozmaitych

wróżbitów, jasnowidzów, czarodziejów. A rady ich zasięga w XX-ym wieku nie tylko ciemna masa kucharek i lokajów, lecz również ludzie, rekrutujący się ze sfer arystokratycznej inteligencji, lub z pośród przemysłowców i kupców, a więc ludzi bardzo „trzeźwych“. Wiadomo również, że pojawiają się coraz to nowe sekty, koła, zrzeszenia mistyczno-religijne, wyrastają, by puchawki po deszczu, przedziwne koncepcje i kanony nowych religijni nie tylko gdzieś w zapadłych zakątkach Rosji lub Azji, lecz głównie w gorączkowej Ameryce i wielko-

TYPY LUDOWE.



miejskich ośrodkach Zachodniej Europy. I im głośniejsz rozbrzmiewają hasła wolnomysłne, aby gwoli uszczęśliwieniu ludzkości rozwalić potężne gmachy historycznych religijni, tem liczniej powstają związki i sekty religijno-mistyczno-spirytystyczne. Nie bez słuszności można w tym wypadku zastosować aforizm bogobojnego Pascala, że „ludzie niewierzący najbardziej stają się łatwowierni“.

Otóż widzimy, że miasta, tworząc specyficzne formy organizacji zbiorowego życia, posiadają swoiste przesady, zabobony, tworzą pewne kategorie wierzeń, podań, pieśni, w których również odzwierciadla się duch narodu. Przez gruntowne badanie tego rodzaju ludoznawczych dokumentów można od-

TYPY WIESNIACZEK Z RUDNA, W POW. M. ŃSKO-MAZOWIECKIM.

fol. H. Wińca.



TYPY LUDOWE.

należć nietylko punkty wyjścia przy powstaniu i rozwoju korporacyj rzemieślniczych, ale również można rozpoznać składniki duchowej struktury samego miasta, jego zwyczajowych przycieni i suterenowych fundamentów ogólnych lub ściśle lokalnych, oraz charakter rozlicznych warstw miejskiej ludności, ich trybu życia, myślenia i uczucia.

Nasze zaś mieszczaństwo stanowi nietkniętą i niewyczerpaną skarbnicę ludoznawczych materiałów; należy po nie badaczom corychlej pośpieszyć, wygotowawszy uprzednio program wspólnego działania, opartego na szeregu szczegółowych kwestjonariuszy, wedle których szerokie warstwy naszej inteligencji, wciągnięte do pracy, mogłyby dostarczyć specjalistom-syntetykom surowych materiałów. Byłoby to wdzięczne a owocne wykorzystanie pracy dyletantów-amatorów, którzy, wzięci pod władzę rzutkiego, pełnego światłej inicjatywy kierownictwa, mogliby z korzyścią dla ojczystej kultury pracować i sami przy tem wiele się nauczyć.

Pozatem kwestja np.: zakładania muzeów prowincjonalnych, które winny jaknajliczniej powstać, nie może być rozwiązana pomyślnie nie tyle z braku środków na ich budowę, ile z braku materiałów do ich zaopiekania, gdyż to co zostało zebrane, jest okruczem znikomym. To też uprzednio należy rozwinąć akcję zbiorowej, a planowej pracy gromadzenia dokumentów kultury ojczystej.

Do tego winny przedewszystkiem zachęcić nasze Towarzystwa krajoznawczo-ludoznawcze. Uprzednio jednak muszą one dokładnie zbadać luki na swem polu, uczynić porachunek z dotychczasowego stanu badań i jasno, dobitnie wypowiedzieć: czego chcą i co mają do spełnienia w stosunku do całokształtu ojczystej kultury, czyli: muszą zakreślić plan zbiorowej pracy, ujętej w silną dłoń jednej kierowniczej organizacji naukowej, która wskazałaby, jakie należy tematy opracować, wyszukiwałaby odpowiednich ludzi, dostarczała im potrzeb-



Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Z OKOLIC SZCZEBRZESZYNA,
W POW. ZAMOJSKIM.

nych materiałów, biorąc na siebie trud ogłaszania wygotowanych prac.

Czas już wielki, aby nasze ludoznawstwo, zalegające niemal ugorem, gdzie indywidualna, najszczytniejsza inicjatywa gasła, gdzie samopańsie grasuje dyletantyzm, lub skostnienie przestarzałych metod i teoryj, nareszcie zostało ujęte w ściśle naukowe normy. W tym celu jedną z najbardziej palących kwestyj jest stworzenie centralnego Związku polskich towarzystw, zajmujących się ludoznawczymi badaniami na ziemiach naszych, z główną siedzibą bądź w Warszawie, bądź w Krakowie, gdzie oparłszy się o naukowe warsztaty muzeów i bibliotek, możnaby intensywnie i racjonalnie kierować zbiorowymi pracami naszych badaczy rodzimej kultury, ułatwiając im wzajemną wymianę myśli. Wcielenie zaś powyższej inicjatywy może nastąpić jedynie przez zwołanie ogólnego zjazdu polskich ludoznawców i krajoznawców, zestrzelenie sił „w jedno ognisko ducha.“ Chodzi przytem i o to, aby komitet, zwołujący taki zjazd, posiadał już jasno urobiony cel w programowej pracy, aby nie przestrzegając zbytnej ograniczoności, nie tonął w mgławicowych bezdrożach, a pamiętał, że od jego inicjatorskiej siły zależą wysiłki przyszłego na tem polu działania.

Na zakończenie niniejszych rozważań odpowiedzmy na jedno jeszcze pytanie, cis-



nące się niepowstrzymalnie: Jakie mianowicie posiada znaczenie ojczyście ludoznawstwo dla narodu i co ono mu daje?

Otóż dokładne badanie ludu, ciągła a baczna uwaga na przejawy kolektywnej twórczości, udostępniają dokładniejsze poznanie dynamicznej krzepoty ojczyściej indywidualności i temsamem doprowadzają do pogłębiania samopoczucia godności narodowej. Odczucie historyczno-rozwojowych faz w ojczystych dziejach jest nikłe i bezkrwiste, jeżeli się nie zna tętniącego życia w fundamentach danej narodowości. Wielu mniema, że jeśli przeczytało się to i owo o ludzie i o historii rodzinnego kraju, to wystarcza, aby móc odmalować obraz swej Ojczyzny. To też z pod pendzli wychodzą jeno nieudolne karykatury, pełne dysharmonji kolorystycznej, a nie dzieła twórczej wyobraźni. Zapominają oni, że chcąc wierne odtworzyć oblicze rodzinnego kraju, należy przedewszystkiem gruntownie znać jego mieszkańców, bezpośrednio wglądać w głębie ich tradycyj, w zwyczajowe motywy i konflikty bez uprzedzenia i bez przesadnego zachwytu, syntetycznie ogarniając jasnym wzrokiem obiektywności całość narodu bez względu na sztuczne granice historycznej konieczności.

Jednorodność ludowego uczucia, wzrosła na zagonach prawiecznych wierzeń, tradycyj i wykołysana wśród pieśni i legend, stanowi twór organicznej jedności, dla której hasłem życia było i jest nieświadome, instyktowne: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“. To samo hasło jedności, lecz znacznie pogłębione rylcem świadomości historycznej, staje się wszak dzisiaj przykazaniem wszystkich współczesnych narodów europejskich i znajduje oddźwięk w ich społecznej organizacji, w której jednostka zlewa się coraz ściślej z wielką całością.

Współczesne wszak narody, owiane poczuciem własnego celu, mimo różnic klasowych, czyli rozbieżności indywidualnych egoizmów, dążą po drodze coraz ściślej do konsolidowania sił i skojarzenia wszystkich obywateli w jedną rodzinę, w której jedno tętniłoby pragnienie i jeden działał narodowy mózg.

Historja skupia kolektywne wysiłki w harmonijnie potężną jednię, zaś ludoznawstwo wyjawia tajemnicę, tkwiącą w narodo-

wości, w jej myśleniu i odczuwaniu, dobitnie unaocznia, jaka jest tradycja naszej duszy, co w nas samych tkwi w nieświadomym myśleniu i czuciu.

Nie potrzebujemy bujać w tęczowych zaświatach abstrakcji, lecz spoglądać sercem i myślać w otoczenie, a wtedy uczuwamy ścisły związek jednostki z ogółem, czujemy nas samych w zwyczajach i obyczajach, w wierzeniach i tradycjach i roztapiamy się w wielkiej plemiennej całości. A im bardziej zagłębiamy wzrok w strukturę narodowości, tem nasza indywidualność bardziej tężnieje, krzepnie i wówczas następuje zgodyność między naszym sposobem myślenia i czucia a Duchem Narodu, albowiem uczucie nasze wie już, czego ma bronić i co ochraniać, zna swój obowiązek wobec testamentu przeszłości.

Pod wpływem ludoznawstwa uczucie czci dla rodzinnego kraju nabiera głębi i jasności. Człowiek wówczas umie należycie ocenić nie tylko wartość własnego narodu lecz i innych, nabiera bowiem głębokiego szacunku do istoty tradycyj narodowych, umie wczuć się w ich piękno i dochodzi do przeświadczenia, że za górą żyją podobni doń ludzie, że i oni również posiadają swe arki „narodowego ducha“, przed którymi należy z głębszym szacunkiem skłonić czoło, każdy bowiem naród, zwracając myśl na siebie samego, odnajduje obok uczucia i charakteru własnego grunt ogólnie ludzki. I tutaj właśnie nauka ludoznawstwa przejawia swą użyteczność socjalną, albowiem wnosi światło poważania dla wszystkich bez wyjątku narodów. Ona ukazuje, iż poza rozgwarem zachłannej polityki, poza walką egoistycznych chęci istnieją w narodach wartości piękna trwałego, które nadewszystko należy cenić i rozumieć. Poza tem przypada ludoznawstwu, jak rzadko innej nauce, również rola pośrednicza w łagodzeniu różnic między członkami jednego kraju. Pod wpływem gruntownej znajomości rodzinnego kraju i wzajemnego poznawania się wszystkich jego synów nikną przekopy obcości i nieporozumienia, oddzielające miasto od wsi.

Mieszczanin uczy się nawiązywać stargane węzły pokrewieństwa ze wsią, odczuwać piękno zwyczajowości, gubić wstręt do natury i rozumieć, że my wszyscy jednością



jestemy, że my wszyscy ludzie miasta, czy mniej lub więcej wykształceni, nie możemy stać poza związkiem z ludem; że przynależymy doń duszą i ciałem; że lud naszej oj-

czyzny jest krwią naszej krwi, kością z naszych kości i że z każdą latoroślą, co wystrzela z onej ziemi, przychodzi nowa, odradzająca moc ducha.



HISTORYCZNE DATY.

W dniach od 17 stycznia do 10 lutego r. b. wojska nasze objęły w posiadanie całą ziemię pomorską oraz pozostałe części Wielkopolski, przyznane nam traktatem wersalskim. Ten radosny pochód naszych zbrojnych zastępów znaczony był datami następującymi:

W dniu 17 stycznia rano wojska nasze przekroczyły granicę i zajęły z ważniejszych miejscowości: Działdowo, Gołub, Gniewkowo, Kępno, Rawicz i Leszno.

18 stycznia: Toruń, Lidzbark, Brodnica i Margonin.

19 stycznia: Lubawę, Nowe Miasto i Kowalewo.

W dniu 20 stycznia: Wąbrzeźno, Bydgoszcz i Toruń.

21 stycznia: Łasin, Radzyń, Chełmża i Nakło.

22 stycznia: Chełmno, Koronowo, Mroczeń, Wyrzysk i Wysoka.

23 stycznia: Grudziądz, Więcbork i Sępólno.

26 stycznia: Nowe, Laskowice i Świecie.

28 stycznia: Kamień.

29 stycznia: Tczew, Starogard i Tucholę.

30 stycznia: Skarszewy.

31 stycznia: Chojnice i Kościerzynę.

1 lutego wojska nasze dotarły do granicy Pomeranji.

8 lutego — zajęły Kartuzy.

10 lutego: Puck.


Objęciu w posiadanie wybrzeża morskiego w dniu 10 lutego towarzyszyła piękna i podniosła uroczystość. Pod wysokim masztem, wkopanym nad brzegiem morza przemawiali do zgromadzonych tłumów ludności wiejskiej oraz przybych gości — generał Haller i min. spraw wewn. Wojciechowski. Po nabożeństwie gen. Haller rzucał w falę symboliczny pierścień na znak zaślubin Polski z morzem, poczem dokonano poświęcenia i wbicia w morze słupa pamiątkowego.





fol. 28 skłonia Pol. Ton. Krqjezu.

WIJNO: WIDOK NA PAŁAC SŁUSZKÓW I ANTOKOL.



W. Piotrowski.

„D O M O W I K”.

Z pomiędzy mnóstwa wierzeń, podań i guseł, pozostałości wiekowej z zamierzonych czasów pogańskiej słowiańszczyzny, istniejących do dnia dzisiejszego wśród ludu ukraińskiego, niektóre wcielone do obrządków chrześcijańskich lub przeinaczone całkiem zostały, inne zaś wcale prawie nietknięte przez wieki i prześladowania, jak naprzykład wiara w istoty nadprzyrodzone, dotychczas są z pietyzmem przechowywane wśród ciszy zapadłych wiosek w całej swojej prostocie pierwotnej, nieziennej.

W czasach ostatnich zaczęły one powoli zanikać pod parciem młodych prądów kulturalnych i oświatowych, stale przekształcających umysł pierwotny wieśniaka; i szybko zapewne nadejdzie czas ten, że ciekawy badacz obyczajów i zwyczajów nie znajdzie już ich więcej wśród ludu. Jednak z pomiędzy wierzeń wiara w „duchy“ złe i dobre pomimo kar i prześladowań kościelnych przechowuje się najżywiej i najtrwalej i nieprędko chyba jeszcze zostanie wyrugowaną z upartego umysłu chłopca.

Obok wiary w djabłów, obok wiary w aniołów, świętych i cudotwórców, trwa również wiara w duchy pośmiertne, upiory, wilkołaki, czarownice i wiedźmy, a oprócz tych ostatnich egzystuje wiara w dziwnego bożka „Domowika“, niby z rodzaju owych bóżków domowych Greków i Rzymian, co dowodzi zresztą sama nazwa „Domowik“ — duch domu. Duch ten nie jest ani całkiem złym, ani też dobrym — posiada i jedną stronę i drugą — jest zarazem i dobrym i złym. Gdy się mści — biada temu domowi: już tam dobrobytu, ani wesela, ani śmiechów niebędzie więcej — do takiej chaty załażą złośliwe psotne lilipucie duchy „zły dni“ (pod „sztandarami“) i w krótkim czasie niszczą cały dobytek gospodarski.

Przeciwnie się dzieje w obejściu, które sobie upodobał i sam w niem zamieszkał Do-

mowik; otacza on pieczołowitą opieką całe gospodarstwo; szczęśliwą ta zagroda i mieszkańcy jej, tam wesołość, tam śmiechy, tam zdrowie rzeźkie napełnia radością serca ludzkie; licho progi te omija zdaleka, dziatki się tam chowają rumiane a jądrene, dobytek tłusty i piękny, a w izbie czysto i schludnie, zamożność gdzie okiem rzucić, wszystko tam idzie jak z płatka, każdy zamiar udaje się. A więc nie dziw, że gospodarze i domownicy szanują i cenią bardzo „Domowika“ boją się go urazić czemkolwiek bądź, chociaż dobrze jego upodobań nie znają, ani istoty jego również. Wyobraźnia ludowa przedstawia go, jako poważnego starca zkonopiastą brodą, porośniętego całkiem włosem, z jednym okiem, gdy usłyszą o zmierzchu lub wśród cichej nocki stukanie i szmery na poddaszu, najulubieńszem miejscu jego pobytu — mówią — „To Domowik się tłucze“; nieraz po izbie o północy chodzi, przewraca się i stuka — a w stajni zaplata ulubionym koniom lub źrebietom grzywy w warkocze, na podobieństwo warkoczy dziewczęcych... Z bydłąt najlepiej mu się podobają srokate lub graniaste. Gdy mu się niepodoba którekolwiek ze zwierząt domowych, bydłę lub koń, wsiada na nieszczęśliwe zwierzę oklep i po całych nocach gania do upadłego, aż zziąjane spoczone, oślepte z przestachu, drżące, o świcie zostawia w spokoju. Gospodarz wszedłszy zrana do chlewiku i zobaczywszy spienione i spoczone zwierzę, natychmiast wyprowadza na najbliższy jarmark i sprzedaje, gdyż pociechy już zeń niebędzie miał wcale — oto zwierzę bez przyczyny chudnie, marnieje i w końcu ginie. Przytem Domowik może się rozgniewać i przenieść się do innego obejścia. Wiara w domowika, zdaje się, jest rozpowszechniona wszędzie na Ukrainie.

Powyższy opis osobiście słyszałem z ust dziada „pańszczyźnianego“ ze wsi Tomaszówki, Skwirskiego powiatu, Kijow. gub.

F. Muchoidka p. Medwin Kijow. gub.



KŁOPOTY GEOGRAFÓW NIEMIECKICH.

Od dwudziestu pięciu już lat wychodzi w Lipsku czasopismo miesięczne p. n. *Geographische Zeitschrift*. Ma ono naogół poważny charakter naukowy, a pozostaje obecnie pod redakcją d-ra Adolfa Hettnera, zwyczajnego profesora geografji w uniwersytecie heidelberskim. Przez długi szereg lat, w zupełnej zgodności z celami rosnącego wciąż i potężniejszego państwa niemieckiego, poświęcało ono swe łamy przeważnie zagadnieniom geografji wszechświatowej, pogłębiając wiedzę niemiecką w zakresie geografji fizycznej i antropogeografji takich zwłaszcza krajów, jak Afryka środkowa, Mezopotamja, wyspy oceanu Spokojnego i t. p. Dopiero wielki przełom wojenny i polityczny, jaki całkiem nieoczekiwanie spadł na społeczeństwo, a więc i na geografów niemieckich, w końcu 1918 r., pociągnął za sobą znaczną zmianę w układzie treści wzmiankowanego czasopisma. Na pierwsze miejsce już w pierwszych zeszytach z 1919 r. wysunięte zostały, zgodnie z nakazem chwili, zagadnienia terytorjalne i narodowościowe. Ponownemu zbadaniu poddany został — niestety, w wyraźnych celach politycznych, z pominięciem ściśle naukowych — obszar etnograficzny niemieczyny we wschodnich dzielnicach dotychczasowych Niemiec i Austrii, przy czem stwierdzono raz jeszcze, aczkolwiek tym razem dość bezskutecznie, jakoby dzielnice te były... niemal czysto niemieckie. Między innymi z okazji informacji o pracach z zakresu kartografji narodowościowej, przedsięwziętych przez prof. Albrechta Pencka z Berlina, a mających zobrazować stosunki na pograniczu etnograficznym polsko-niemieckim przy pomocy metody interpolacyjnej, — wykazać próbował p. D. Häberle w 4-ym zeszycie omawianego czasopisma, jakoby w Wielkopolsce i na Pomorzu naszym czysto polskie okręgi językowe były bardzo rzadkie i jakoby tworzyły one tylko drobne wysepki wśród morza niemieckiego. Jako na źródła swych wywodów, powołał się geograf niemiecki, oprócz prof. Pencka, na mapy językowe i narodowościowe D. Schäfera i... J. Spetta.

Ale nie dość na tem. W tym samym zeszycie *Geographische Zeitschrift* ukazała się osobna recenzja z obu tych map, pióra znanego dobrze i w Warszawie z czasów okupacyjnych p. H. Praesenta. Sprawozdawca, biorąc p. Jakuba Spetta za Niemca, wprowadzony przytem widocznie na bezdroża nazwiskiem nakładcy i miejscem wydania (Wien, Moritz Perles 1919) tej mapy, opracowanej przez autora w języku niemieckim dla celów należytej informacji opinji środkowo-europejskiej, — roztoczył szereg pochwał dla pracy p. Spetta, która — zdaniem p. Praesenta — „bildet eine wünschenswerte Zusammenfassung und Erneuerung der ähnlichen bekannten Einzelkarten der östlichen Provinzen von P. Langhans“.

Stała się zatem, jak widzimy, rzecz niezwykła. Uczony niemiecki pochwalił ze szczerego serca pracę

polskiego autora, obrazującą stosunki narodowościowe w Wielkopolsce i na Pomorzu. Nie wiemy, ile egzemplarzy mapy p. Spetta poszło, dzięki temu poleceniu, między publiczność niemiecką. Musiała jednak mapa ta wywołać pewne zainteresowanie, bo oto już w siódmym zeszycie *Geographische Zeitschrift* ten sam p. H. Praesent wystąpił... z odwołaniem swojej własnej oceny. Tym razem — pragnąc widocznie jak najdokładniej zatrzeć wrażenie swoich słów poprzednich — geograf berliński przyjmuje w stosunku do kartografa polskiego ton niezmiernie wyniosły. Okazuje się zatem rzekomo po bliższym zbadaniu rzeczy, iż „die Spettsche Karte nicht nur, wie früher vermutet (?), eine tendenziöse polnische Darstellung ist, sondern an vielen Stellen sogar ungenau, unvollständige und direkt falsche Angaben enthält, ja A. Penck bezeichnet sie sogar als ein „Meisterwerk der Fälschung“. Cała wina autora polskiego polegać ma zresztą głównie na tem, że w poczet ludności polskiej zaliczył nietylko Polaków, stwierdzonych przez statystykę niemiecką z roku 1910, ale również i t. zw. dwujęzycznych. Tak chwalona poprzednio mapa zakwalifikowana została teraz, jako wydana albo „z polecenia“ koalicji, albo już conajmniej na jej użytek.

Wręcz już jednak zabawnem jest końcowe przypuszczenie geografa niemieckiego, nie umiejącego wybrnąć z godnością z przykrej zaiste sytuacji. Oto stawia on hipotezę, iż autorem mapy nie może być żaden prawdziwy p. J. Spett, „całkowicie nieznanym w piśmiennictwie geograficzno-narodowościowym“, i że jest to tylko... pseudonim „pewnego znanego polityka polskiego“.

P. Praesent w ten sposób z jednego błędu wpada tylko w drugi. Możemy go zapewnić, że p. Spett jest osobną realną, co więcej, że znany już jest w naszej kartografji, jako autor wydanej w r. 1910-ym we Lwowie „Mapy rozsiedlenia ludności polskiej w Galicji“. Mapa ta w tytule zawiera informację bliższą, iż opracował ją „inżynier J. Spett, starszy komisarz budowy kolei państwowych“ oczywiście w b. Galicji. Przypuszczenia zatem p. Praesenta bynajmniej nie ratują w tym wypadku honoru nauki niemieckiej.

Dodamy tu jeszcze, że i nauka polska nie uważa bynajmniej mapy p. Spetta za ostateczny wyraz swoich zapatrywań na stosunki narodowościowe na Śląsku, w Wielkopolsce i na Pomorzu. Kardynalną bowiem wadą tej mapy jest ta okoliczność, iż opiera się ona z pewnemi tylko, drobnemi poprawkami i modyfikacjami na danych urzędowej statystyki niemieckiej. P. Spett, oczywiście, ze względu na datę powstania mapy nie mógł uczynić inaczej. Jak dalece jednak dane te odległe są od prawdy, pokaże to we właściwem świetle najbliższy spis ludności.

Edward Maliszewski.

Odezwa

w sprawie portu polskiego na Bałtyku.

Rada pedagogiczna państwowego gimnazjum imienia Adama Mickiewicza w Warszawie (dawnej szkoły im. E. Konopczyńskiego) nadesłała nam do opublikowania odezwę następującą:

Od kilku dni wojsko polskie stoi nad Bałtykiem.

Państwo z ludnością wielomiljonową otrzymało dostęp do piaszczystych, płytkich brzegów, pozbawionych portów, a na znacznej przestrzeni — i linii kolejowych. Ujście rzeki, nad którą na długości 1100 klm. mieszka zwarta masa Polaków, jest w obcych rękach!

Od lat stu pięćdziesięciu czyniono nad narodem polskim różne próby; wytrzymamy i obecne, miejmy nadzieję, ostatnie.

Zanim jednak sprawiedliwości stanie się zadość, cały naród polski musi w tej niezmiernie doniosłej chwili dziejowej wyteżyć wszystkie duchowe i fizyczne siły, wszystkie zasoby materialne, ponieść największe nawet ofiary, aby poprzeć nasz rząd w budowie portu na ziemiach polskich, nie zależnego od jakichkolwiek intryg i wpływów obcych.

Nie mamy prawa grzeszyć brakiem wiary w siebie! Przecież naród polski nie tylko przez wieki był „przedmurzem“ Zachodu, nie tylko był krzewicielem kultury na Wschodzie, nie tylko wydał genialnych uczonych, poetów i artystów: zdumiewał on nieraz świat cały arcydzielniami techniki. Wszak kolej na niebosiężne wysokości gór Ameryki Południowej, przedsięwzięcie, na które nie odważyli się najśmielsi inżynierowie amerykańscy, jest dziełem Polaka, Ernesta Malinowskiego, o czym Europa z pewnością nie wie, gdyż nieznaną Polskę wśród cudzoziemców jest wciąż jednakowa.

W pełnym zrozumieniu ogromu wspomnianego zadania, rada pedagogiczna państwowego gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Warszawie wzywa całe szkolnictwo w Polsce i wszystkie instytucje kulturalno-oświatowe, aby wszelkimi środkami uświadamiały najszersze warstwy narodu o doniosłości przedsięwziętego przez sejm i rząd zamierzenia i aby przyczyniły się materialnie do jego szybkiego urzeczywistnienia. Niechaj cały naród da realny dowód, że wydarcie mu ujścia rodzimej rzeki nie zdoła sparaliżować jego mocy, ani osłabić niezłomnej woli objęcia w posiadanie własnego dziedzictwa morskiego.

Składając na ręce marszałka sejmu, p. W. Trąmpczyńskiego, sumę 2000 mk., zebraną z dobrowolnego jednorazowego opodatkowania się, rada pedagog. gimn. A. Mickiewicza prosi jednocześnie wszystkie pisma o umieszczenie niniejszej odezwy.

Warszawa, dnia 13 lutego 1920 r.

o o o o o o o o

Z piśmiennictwa.

— Otrzymałmy pierwszy tegoroczny zeszyt wydawnictwa kwartalnego p. n.: *Zapiski Towarzystwa Naukowego w Toruniu*. Obok drobnej rozprawki ks. A. Maikowskiego p. t.: „Uroczystość przeniesienia stolicy biskupiej do Pelplina 3 sierpnia 1824 r.“ znajdujemy tu tylko listę członków Tow. Naukowego w Toruniu oraz informacje od Zarządu. Lista wykazuje 708 nazwisk, wyłącznie niemal z Pomorza Polskiego. Z b. Kongresówki niema tu bodaj ani jednego nazwiska. Ofiarodawców na rzecz zbiorów toruńskich znalazło się zaledwie sześciu, dary zaś były więcej niż ubogie (np. talar niemiecki z r. 1871 lub kilka monet wojennych). Notujemy też chętnie dla użytku czytelników naszych wiadomość, że książki i przedmioty muzealne z wdzięcznością przyjmuje bibliotekarz Towarzystwa, d-r Steinborn w Toruniu — ul. Łąziebna 19.

o o o o o o o o

Z POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.



W dniu 22 stycznia r. b. zawiązany został w Poznaniu nowy oddział Pol. Tow. Krajoznawczego. Do pierwszego zarządu powołane zostały osoby następujące: prof. Stanisław Pawłowski, jako przewodniczący, mecen. Bernard Chrzanowski, mecenas Cyryl Ratajski, d-r Kotas, d-r Smoluchowski, d-r Świnarski, prof. Kilerski, p. Niemierkiewicz, prof. d-r Józef Kostrzewski, d-r St. Sławski i ks. prof. Janicki (w tem dwu członków komisji rewizyjnej). Projektowane jest utworzenie w najbliższym czasie sekcji miłośników Poznania oraz sekcji krajoznawczej akademickiej. Odrazu powstała już sekcja turystyczna z d-rem Smoluchowskim na czele. Rozpoczęto starania o lokal własny, narazie oddział mieści się w uniwersytecie (Collegium Minus 23). Zaraz po walnym zebraniu odbyło się pierwsze zebranie miesięczne, na którym wygłosili odczyty: red. K. Ligoń ze Śląska o „Górnym Śląsku“ oraz prof. Stanisław Pawłowski o danych statystycznych co do Śląska w oświetleniu krytycznym. W najbliższym czasie projektowane są odczyty o Śląsku Cieszyńskim, Spiszu, Mazurach, Pomorzu i t. d. Prawdopodobnie wkrótce już powstanie nowy oddział P. T. K. na ziemi wielkopolskiej, mianowicie w Grodzisku.

o o o o o o o o

Kronika krajoznawcza.

— Polskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Mińsku Litewskim powstało z inicjatywy kilku osób pod koniec roku 1918. Statut Towarzystwa był zatwierdzony dnia 4 października roku 1918, a pierwsze zgromadzenie organizacyjne odbyło się 3 listopada tego



roku, w którym wzięło udział 80 osób. Na jednym z pierwszych posiedzeń wybranego wte dy zarządu był przeprowadzony podział Towarzystwa na sekcje. Powołano więc do życia sekcje: 1) przyrodniczo-matematyczno-filozoficzną; 2) historyczno-filologiczną; 3) krajoznawczą; 4) pedagogiczną; 5) polityczno-społeczną; 6) literacko-artystyczną. Jednakże tak szeroko zakreślony program nie mógł przyjść do skutku z powodu napadu bolszewików w grudniu roku 1918. Nadto wobec szukan stawianych przez rząd Bronsztajna-Trockiego, wywiezienia wielu członków czynnych i t. p. represyj Towarzystwo nie mogło prowadzić swej pracy narodowo-kulturalnej i musiało zawiesić działalność. Dopiero teraz dzięki usilnym staraniom p. Bolesława Borkowskiego ważna ta w życiu polskiem placówka oświatowa mogła być zorganizowana na nowo. W tym celu było zwołane walne zebranie członków tak dawnych, jako też i świeżo przybyłych na dzień 25 stycznia r. b., na którym wybrano nowy zarząd z osób następujących: prezes ks. rektor Bronisław Ussas; wiceprezesi d-r Marjan Obiezierski i d-r Jan Offenberk; skarbnik a zarazem bibliotekarz p. Bolesław Borkowski; sekretarz p. Piotr Hutorowicz, nadto ks. prof. d-r Aleksander Korwin-Szymanowski i inż. Tadeusz Korzon. Na 1-szem posiedzeniu nowego zarządu postanowiono powołać z powrotem do życia sekcję krajoznawczą, a nadto utworzyć bezzwłocznie sekcję archiwalną, ze względu, że 40 tys. pudów różnych skryptów i pism, znajdujących się dziś w posiadaniu Towarzystwa wymaga natychmiastowego rozpatrzenia, uporządkowania i obrobienia, jako materiału do historii Polski, Litwy i Białorusi.

— O zabytkach Grodna pisze p. Józef Jod-ski w № 35 „Echa“ grodzieńskiego: „Brak opieki fachowej był przyczyną, iż Grodno w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat powoli zaczęło przybierać postać bezlicowego miasta, wyzbywając się drogich każdemu z nas zabytków sztuki rodzimej. Dość chyba dziś nawet pobieżnie rzucić okiem, by zrozumieć, jaką utratę ponieśliśmy przez przebudowanie lub nieudolne restauracje kościoła farnego (sobór) ze szkarpami gotyckimi, apteki po-jezuickiej z przesłizną facjatą z XVI wieku, znacznej części Batorówki, resztek fragmentów byłego klasztoru po-jezuickiego, klasztorów po-bazylijskiego i pp. bernardynek, zburzenie kościołów po-dominikańskiego i po-karmelickiego i wielu innych gmachów pomnikowych“ Powoli znikają stare modrzewiowe dworki z XVI—XVII wieku, tak zwane gdańskie domy przy ulicy Zamkowej, domki „Bośniackie“ (z czasów Tyzenhauza) przy ulicy Orzeszkowej i inne

zabytki budownictwa z XVI—XVII wieku, ojom zaś miasta widocznie sprawy te są obojętne, albowiem za przykładem innych miast, nawet naszego kraju (Wilna), nie posiadają w swem archiwum miejskiem zdjęć fotograficznych i pomiarów ginących pomników Starego Grodna“.

oooooooooooo

Nowe książki.

(W rubryce tej podawać będziemy stale tytuły książek, nadesłanych do redakcji „Ziemi“. W ten sposób czytelnicy nasi informowani będą o wszelkich nowościach z dziedziny krajoznawstwa i pokrewnych gałęzi wiedzy).

- BARANOWSKI IGNACY. *Marszałek Franciszek Biebiński*. (Nakład Sekcji Miłośników Warszawy Pol. Tow. Krajozn.). Warszawa 1919.
- DYBCZYŃSKI TADEUSZ. *Skarby kopalne ziem polskich*. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1920.
- GĄSIOROWSKA NATALJA. *Ministrowie Królestwa Kongresowego jako gospodarze Warszawy*. (Nakład Sekcji Miłośników Warszawy Polsk. Tow. Krajozn.). Warszawa 1919.
- JANOWSKI ALEKSANDER. *Ostatnia Jagiellonka*. (Nakład Sekcji Miłośników Warszawy Polsk. Tow. Krajozn.). Warszawa 1920.
- KWIATKOWSKI JAN. *Wisła pod Sandomierzem (z 3-ma mapami)*. Biblioteka sandomierska № 1. Nakład Oddziału Sandomierskiego P. T. K. Sandomierz 1919.
- PIETRASZEWSKI JÓZEF. *Przewodnik po Sandomierzu i okolicy*. Nakład Oddziału Sandomierskiego P. T. K. Sandomierz 1919.

oooooooooooo

Odpowiedzi Redakcji.

Panu W. B. w Częstochowie. Utworów wierszowanych w „Ziemi“ nie zamieszczamy.

Panu Z. F. w Łodzi. Ma Pan najzupełniejszą rację. Buki do puszczy Białowieskiej zakradły się jednie przez niedopatrzenie. Zasiąg buka nie dochodzi nawet na Podlasie, a tembardziej na Litwę historyczną.

Panu J. P. w Sandomierzu. Istotnie, wiele osób, nie znających bliżej kraju ojczystego, miesza nieraz Solec stopnicki ze Solcem iłżeckim. Błądów podobnych możnaby znaleźć w pismach naszych bez liku.

TREŚĆ: Stanisław Pawłowski. — Główne kierunki sieci kolejowej w Polsce (z 1-ną ilustr.). Witalis. — Kościół w Hłusku (z 1-ną ilustr.). Elżbieta Nowicka. — Natolin (z 1-ną ilustr.). Franciszek Rawita-Gawroński. — Od źródeł Wisły do Ustronia (z 3-ma ilustr.). Antoni Langer. — Istota ludoznawstwa, jego granice i cele (dok.). Historyczne daty. W. Piotrowski. — „Domowik“. Edward Maliszewski. — Kłopoty geografów niemieckich. — Odezwa w sprawie portu polskiego na Bałtyku. — Z piśmiennictwa. — Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. — Kronika krajoznawcza. — Nowe książki. — Odpowiedzi od Redakcji.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, ULICA KAROWA 31. TELEFON 42-50.

Redaktor EDWARD MALISZEWSKI.

Wydawca POLSKIE TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE